



BLUŹNIERS+WO

Asia Bibi

WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

Asia Bibi

Bluźnierstwo



Piszę do was z więzienia w Śechupurze w Pakistanie, w którym spędzam ostatnie dni mojego życia. Być może nawet ostatnie godziny. Tak powiedział mi sąd, który skazał mnie na śmierć*.

*Aasiya (Asia) Noreen Bibi (ur. ok. 1971) nadal znajduje się w więzieniu w Śechupurze w oczekiwaniu na proces po apelacji złożonej do Sądu Najwyższego w Lahaur (przyp. tłum.).

Boję się.

Boję się o życie swoje, moich cierpiących dzieci i mojego męża - bo skazując mnie, skazano całą moją rodzinę.

Mimo wszystko moja wiara jest silna i modlę się do miłosiernego Boga, by nas chronił. Tak bardzo chciałabym znów zobaczyć uśmiech na ustach moich bliskich... Wiem jednak, że nie będę żyła na tyle długo, by doczekać tego dnia. Ekstremiści nigdy nie zostawiają nas w spokoju.

Nigdy nikogo nie zabiłam, nigdy nic nie ukradłam... Jednak według wymiaru sprawiedliwości w moim kraju zrobiłam coś o wiele gorszego - dopuściłam się bluźnierstwa. Zbrodni nad zbrodniami, najwyższej obrazy. Oskarżono mnie o mówienie źle o Proroku. To oskarżenie, które pozwala pozbyć się niewygodnych osób, niezależnie od ich wyznania czy poglądów.

Nazywam się Aasiya Noreen Bibi. Jestem „zerem”, jak mnie tutaj nazywają. Prostą wieśniaczką z Ittan Wali, maleńkiej wioski w Pendżabie, w centrum Pakistanu. Jednak wszyscy mnie dzisiaj znają. Wszyscy wiedzą, kim jest „Asia” Bibi.

A przecież nigdy nie dopuściłam się bluźnierstwa! Jestem niewinna! Cierpię, nie popełniwszy najmniejszego wykroczenia.

Chciałabym wyznać całemu światu, że szanuję Proroka. Jestem chrześcijanką i wierzę w mojego Boga, ale uważam, że każdy powinien być wolny i móc wierzyć, w kogo chce.

Od dwóch lat żyję w zamknięciu i nie wolno mi mówić. Chciałabym wreszcie wszystko wyjaśnić. Wykrzyczeć prawdę.

Gubernator Pendżabu, Salman Taseer*, oraz minister ds. mniejszości, Shahbaz Bhatti**, zginęli, ponieważ odważyli się mnie wspierać. Zamordowali ich fundamentaliści. To potworne. Nawet zwierząt nie zabija się z takim okrucieństwem. Myślę o ich rodzinach i na samą myśl o nich - płaczę.

Jak powiedział Salman Taseer: „W Pakistanie naszych ojców założycieli nie istniało prawo pozwalające skazywać za ”.

Dzięki mojemu ukochanemu mężowi, Ashiadowi, dzięki adwokatom z Fundacji

Masihi, którzy, ryzykując życie, zajmują się moją sprawą, dzięki osobom, które ze względów bezpieczeństwa muszą pozostać anonimowe, mogę dziś pisać do was z mojej celi, w której pogrzebano mnie żywcem. Proszę was o pomoc, proszę, byście nie zostawili mnie samej.

Potrzebuję was.

*Salman Taseer (1944-2011) - pakistański biznesmen i polityk, gubernator prowincji Pendżab od 2008 roku aż do swojej tragicznej śmierci na początku 2011 roku. 4 stycznia 2011 roku Taseer został zamordowany przez swojego ochroniarza, Mumtaza Qadriego. Powodem zabójstwa był otwarty sprzeciw Taseera wobec pakistańskiego prawa wymierzonego w bluźnierców religijnych (przyp. tłum.).

** Shahbaz Bhatti (właśc. Clement Shahbaz Bhatti, 1968-2011) - pakistański polityk, deputowany Zgromadzenia Narodowego i pierwszy w historii minister ds. mniejszości od 2008 roku. 2 marca 2011 roku Bhatti zginął w zamachu, do którego przyznała się organizacja terrorystyczna TehrikiTaliban Pakistan. Powodem zabójstwa Bhattiego był, podobnie jak w przypadku Salmana Taseera (zob. poprzedni przyp.), jego zdecydowany sprzeciw wobec ustawy o bluźnierstwie (przyp. tłum.).

1

W czarnej dziurze.

W więzieniu dzień i noc są do siebie podobne. Od czasu do czasu zapadam w drzemkę, ale nie sędzę, bym choć raz zasnęła naprawdę. Za każdym razem odgłosy dochodzące z więzienia wrywają mnie ze snu. Trzaśnięcie drzwiami oznacza zmianę warty. Brzęk pęku kluczy, odgłos kroków strażników zmieszany ze skrzypieniem kółek wózka z zupą - to pora posiłku. Metalowe wiadro, uderzające o kafelki posadzki - wieczorny dyżur. A może poranny? Moja śmierć jest powolna, jak na razie bezbolesna, ale tak bardzo powolna...

Już naprawdę nie potrafię wyrazić tego, co czuję. Strach

- na pewno... Ciągłe jest ze mną, ale nie powala mnie już tak, jak na początku. Przez pierwsze dni bił mi w piersi jak w bęben. Teraz nieco zelżał. Nie podrywam się już co chwilę ze strachu. Ale łzy mnie nie opuściły i równomiernie spływają mi po policzkach. Nie szlocham już jednak - łzy stały się moimi współtowarzyszkami celi. Mówią mi, żebym się nie poddawała, że dotknęła mnie niesprawiedliwość, że jestem niewinna.

Sąd w Nankana nie tylko mnie tu wrzucił - w sam środek tej zimnej i wilgotnej celi, tak małej, że prostując ręce, mogę dotknąć obu jej ścian. Przede wszystkim pozbawił mnie prawa do widywania moich pięciorga dzieci. Już ich nie przytulę i nie opowiem im bajek o olbrzymach i pendzabskich księżętach, które opowiadała mi moja matka, kiedy byłam w ich wieku.

Tego wieczoru, jak zwykle o tej porze, ich nieobecność dobija mnie bardziej niż pobyt w więzieniu. Również to, że nie mogę ich dotknąć ani usłyszeć. Oddałabym wszystko, co mam, dla jednej chwili spędzonej razem - u nas w domu, ściśnięci w szóstkę w rodzinnym łóżku. Uśmiecham się, wspominając ubiegłą zimę i niekończące się posiedzenia, podczas których moja najmłodsza córeczka, Isham, chowała się w koszu na bieliznę, uciekając przed czesaniem.

Mój mąż Ashią opowiadał dzieciom, że wesz, wykarmiona na skórze małej dziewczynki, może pewnego dnia osiągnąć rozmiary szczura, jeśli się jej nie upilnuje.

W czarnej dziurze

- Szczura? Będę miała szczura we włosach? - krzyczała Isham, szukając schronienia pod moją tuniką...

Boże, jak ja kochałam te chwile!

Boże, mój Boże - przez którego jestem teraz tutaj. Ile jeszcze potrwa moja agonia? Byłam dobrą chrześcijanką, a skoro moje dzieci tak bardzo za mną tęsknią, musiałam być i

dobrą matką. Za co mnie więc ukarano? Gdy brałam ślub, byłam dziewicą jak sama Maryja. Każdego Bożego Narodzenia matka mojego męża gratulowała mu, że wziął mnie za żonę. Dobra żona, dobra matka, dobra chrześcijanka - która dzisiaj nadaje się tylko na stryczek...

Nie wiem wiele o świecie, który znajduje się poza granicami mojej wioski. Nie jestem wykształcona, ale wiem, co jest dobre, a co złe. Nie jestem muzułmanką, ale dobra ze mnie Pakistanka, katoliczka i patriotka, równie oddana swojemu krajowi, co Bogu. Mamy muzułmańskich przyjaciół. Dla nich nasza wiara nigdy nie miała żadnego znaczenia. I nawet jeśli życie nie zawsze nas łagodnie traktowało, mieliśmy swoje miejsce. Miejsce, z którego zawsze byliśmy zadowoleni. Oczywiście, będąc chrześcijaninem w Pakistanie, należy w pewnych sytuacjach pokornie spuścić wzrok. Niektórzy traktują nas jak obywateli drugiej kategorii. Wykonujemy niewdzięczne prace, zarezerwowane są dla nas drobne usługi. Jednak mój los mi odpowiadał. Zanim to wszystko się zaczęło, byłam naprawdę szczęśliwa z moimi bliskimi - tam, w Ittan Wali.

Odkąd postanowiono powiesić mnie na szubienicy, odwiedziło mnie wiele ważnych osób, również z zagranicy. Przynajmniej na początku, bo teraz zostałam zupełnie odizolowana. Nie mam prawa widywać się z nikim, z wyjątkiem męża i adwokata.

Nigdy do końca nie zrozumiałam, kim byli ci ludzie. Ale pomogli mi. Pewnie trudno w to uwierzyć poza granicami mojego kraju, ale tutaj łajdaków, morderców i gwałcicieli traktuje się lepiej niż tych, którzy znieważyli Koran lub Proroka. Zawsze o tym wiedziałam. Chrześcijanina, który dopuści się najdrobniejszej krytyki islamu, od razu skazuje się na szafot. Ale najpierw czeka go długi pobyt w więzieniu.

Widzę już tylko kraty, wilgotną ziemię i szerniałe od brudu ściany. Smród tłuszczu, potu i moczu unosi się wszędzie. To nieznosna mieszanka, nawet dla dziewczyny wychowanej w gospodarstwie. Myślałam, że się do niej przyzwyczaję, ale nie jestem w stanie. To zapach śmierci, albo rozpaczy...

Nie wiem, ile czasu mi jeszcze pozostało. Za każdym razem, kiedy otwierają się drzwi mojej celi, serce zaczyna mi mocniej bić. Jestem w rękach Boga i nie wiem, co się ze mną stanie. To nieludzkie, okrutne.

Jestem dziewczyną z pół - dziewczyną z pół trzciny cukrowej. Kiedy mój przyszły mąż dotknął mnie po raz pierwszy, powiedział, że moja skóra smakuje trzcina. Wybuchłam śmiechem. Matka mnie uprzedziła - wszyscy chłopcy z wioski tak mówią za pierwszym razem, choć nikt nie wie, kto pierwszy wpadł na ten absurdalny pomysł. Z dziewczynami śmiałyśmy się z tego między sobą. Wyobrażałyśmy sobie chłopców, którzy w klasie przy tablicy uczą się, jak „działa” dziewczyna. Jedna z nas naśladowała nauczyciela:

- Ale przede wszystkim nie zapomnijcie im powiedzieć, że ich skóra smakuje jak trzcina cukrowa...

Miałam dopiero piętnaście lat, ale zdawałam sobie sprawę ze swej odmienności. Moje muzułmańskie przyjaciółki w wielu momentach mnie wykluczały. Na przykład podczas ramadanu, kiedy musiałam szukać kryjówki, by napić się w ciągu dnia, a one pościły od świtu do zachodu słońca. Dopóki nie trafiłam do więzienia, te czasy nie wydawały mi się tak odległe. Mimo wszystko byłam jedną z nich. Byłam inna, ale żyłam wśród nich.

Dzisiaj jestem jak wszyscy bluźniercy w Pakistanie. Niezależnie od tego, czy są winni, czy nie, ich życie przewraca się do góry nogami. W najlepszym wypadku spędzają lata w więzieniu. Jednak najczęściej ci winni najwyższej obrazy

- nieważne, czy są chrześcijanami, hinduistami czy muzułmanami - kończą zabici we własnej celi przez współwięźnia lub strażnika. A jeśli już zostaną oczyszczeni z zarzutów, co zdarza się niezmiernie rzadko, likwiduje się ich po wyjściu z aresztu.

W moim kraju znamię bluźnierstwa jest niezmywalne. Bycie podejrzanym jest zbrodnią samą w sobie dla fanatyków religijnych, którzy sądzą, skazują i zabijają w imię Boga. A przecież Allah jest samą miłością. Nie rozumiem, dlaczego ludzie wykorzystują religię do czynienia zła. Chciałabym wierzyć, że przede wszystkim jesteśmy mężczyznami i kobietami, a dopiero w dalszej kolejności reprezentantami jakiejś religii.

Do dzisiaj cierpię z powodu tego, że nie umiem pisać ani czytać. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak wielką stanowi to przeszkodę. Gdybym potrafiła czytać, być może nie tkwiłabym teraz tutaj. Bez wątplenia miałabym większą kontrolę nad przebiegiem zdarzeń. A zamiast tego - uległam im, i ulegam im nadal. Jeśli wierzyć temu, co piszą

W czarnej dziurze dziennikarze, dziesięć milionów Pakistańczyków gotowych jest mnie zabić gołymi rękoma. Pewien mułła z Peszawaru obiecał nawet fortunę za moją głowę - 500 000 rupii. Za te pieniądze można tutaj kupić piękny dom, z co najmniej trzema pokojami i wszystkimi wygodami. Nie rozumiem tego zapamiętania. Zawsze szanowałam islam, moi rodzice i dziadkowie wychowali mnie w szacunku dla tej religii. Byłam wręcz szczęśliwa, że moje dzieci czytają świętą księgę muzułmanów w naszej wiejskiej szkółce.

Jestem ofiarą okrutnej zbiorowej niesprawiedliwości. Uwięziona, związana, zakuta w łańcuchy od dwóch lat, wygnana ze świata w oczekiwaniu śmierci. Ja, Asia, jestem niewinna - moją winą jest samo bycie podejrzaną. Zaczynam się zastanawiać, czy bycie chrześcijaninem w Pakistanie jest nie tyle wadą czy utrudnieniem, co po prostu zbrodnią.

Mimo wszystko pragnę, aby z mojej maleńkiej celi bez okien usłyszano mój głos i moją wściekłość. Pragnę, aby cały świat dowiedział się, że zostanę powieszona za to, że

pomogłam bliźniemu. Jestem winna okazania solidarności. Mój jedyny błąd? Wypicie wody ze studni należącej do muzułmańskich kobiet, z „ich” szklanki, w czterdziestostopniowym upale.

Ja, Asia Bibi, zostałam skazana na śmierć, ponieważ byłam spragniona. Wrzucono mnie do więzienia, bo skorzystałam ze szklanki, z której na co dzień piją muzułmańskie kobiety. Moje głupie towarzyszkę z plantacji uznały, że woda z którą miała kontakt chrześcijanka, jest nieczysta.

Mój Boże, nie rozumiem! Czemu wystawiasz mnie na taką próbę?

Pragnę, by usłyszano mój głos dobiegający z głębi tego odrażającego więzienia. Pragnę także obnażyć tę niesprawiedliwość, to barbarzyństwo. Pragnę, by wszyscy ci, którzy chcieliby mnie widzieć martwą, wiedzieli, że przez lata pracowałam u muzułmańskiej pary bogatych urzędników. Pragnę powiedzieć tym, którzy mnie skazują, że członkowie tej rodziny, którzy są dobrymi muzułmanami, nie byli zaniepokojeni faktem, że chrześcijanka przygotowuje im posiłki i zmywa ich naczynia. Spędziłam u nich sześć lat mojego życia. Są dla mnie drugą rodziną i kochają mnie jak własną córkę!

Jestem wściekła na prawo, które za skazuje na śmierć ahmadich*, chrześcijan, muzułmanów, a nawet hinduistów. Przez to prawo wrzuca się do więzienia niewinnych ludzi, takich jak ja.

*Ahmadijja (ahmadiyya, ahmadija) - ruch reformatorski w obrębie islamu założony w XIX wieku przez Mirzę Ghulama Ahmada z Qadian w Pendżabie, uznany w 1900 roku przez władze

Dlaczego politycy nic z tym nie zrobią? Tylko gubernator Pendżabu, Salman Taseer, oraz chrześcijański minister ds. mniejszości, Shahbaz Bhatti, ośmielili się publicznie wystąpić w moim imieniu i sprzeciwić się temu barbarzyńskiemu prawu. Prawu, które samo w sobie jest bluźnierstwem, bo w imię Boga pociąga za sobą prześladowania i śmierć.

Ci dwaj nieustraszeni mężczyźni zostali zamordowani w biały dzień - tylko dlatego, że ośmielili się powiedzieć głośno o tej niesprawiedliwości. Jeden z nich był muzułmaninem, drugi chrześcijaninem.

Obaj wiedzieli, że ryzykują życie, ponieważ fanatycy religijni grozili im śmiercią. Mimo wszystko ci dwaj wspaniali mężczyźni, wielkoduszni i szlachetni, nie zrezygnowali z walki o wolność religijną - aby chrześcijanie, muzułmanie i hinduiści mogli żyć szczęśliwie, obok siebie, na islamskiej ziemi. Zapłacili za to najwyższą cenę. Muzułmanin indyjsko-brytyjskie. Pakistańscy uczeni muzułmańscy wyłączyli go z ummy (wspólnoty muzułmańskiej) w 1974 roku. Ahmadijja liczy obecnie od 5 do 12 milionów wyznawców. W

większości krajów muzułmańskich ruch jest zakazany, największe prześladowania dotyczą ahmadich w ich rodzinnym Pakistanie (przyp. tłum.).

Sterroryzowany rząd ulega dyktaturze fundamentalistów i prawo wymierzone w bluźnierców nigdy nie zostanie zmienione - tak twierdzi Ashiq. To chore prawo będzie dalej pozbawiać życia mnóstwo niewinnych osób.

Muszę ponownie stanąć przed wymiarem sprawiedliwości, aby odwołać się od wyroku śmierci, który na mnie wydano. Ale nie ufam już sądom, które skazują takich nieszczęśników jak ja. Bo jeśli, jakimś cudem, nie zostanę zamordowana w mojej celi przed ponownym osądzeniem, i tak zostanę zabita.

Ja, biedna dziewczyna z gospodarstwa, stałam się wbrew własnej woli sprawą wagi państwowej.

Ja, Asia Bibi, jestem od tej chwili symbolem prawa wymierzonego w bluźnierców - i nic nie mogę z tym zrobić.

Mam wrażenie, że spadłam w głąb bezdennej czarnej dziury, z której nie potrafię się wydostać. Czekam więc z trwogą, aż nadejdzie mój czas. Jeśli nawet zostanę uniewinniona, nie wierzę, że w Pakistanie uda mi się przeżyć. Inne państwo musiałoby udzielić mi schronienia, bo mój kraj już mnie nie chce. Skazano mnie na opuszczenie mojej ukochanej rodzinnej ziemi - ale wściekłość, która wezbrała

W czarnej dziurze we mnie w ciągu tych dwóch lat spędzonych w więzieniu, daje mi siłę, by chcieć żyć dalej, gdzieś za granicą, razem z moją rodziną, której również grozi się śmiercią.

Tutaj nikt mnie nie słucha, mam więc gorącą nadzieję, że mój cichy głos zostanie usłyszany poza Pakistanem. Moje życie nic tu nie znaczy, a fundamentaliści religijni nie poczują się usatysfakcjonowani, dopóki nie dokonają swej okrutnej zbrodni. Pragnę też, by moje świadectwo pomogło innym niesprawiedliwie oskarżonym w imię tego prawa.

Błagam Najświętszą Panią, by pomogła mi wytrzymać kolejną minutę bez dzieci, które zastanawiają się, dlaczego ich mama tak nagle opuściła dom.

Bóg każdego dnia daje mi siłę, bym mogła znieść tę potworną niesprawiedliwość - ale jak długo to jeszcze potrwa? Miesiące? Lata - jeśli będzie mi jeszcze dane żyć? Codziennie modłę się do Pana, by pomógł mi przetrwać, ale czuję, że słabnę i nie mam już tyle siły co dawniej. Nie wiem, jak długo będę mogła jeszcze wytrzymać to poniżenie i okropne warunki, w których żyję.

2.

Pewnego czerwcowego dnia moje życie wywróciło się do góry nogami.

Ten dzień miał się niczym nie różnić od pozostałych. Budząc się owej niedzieli, nie miałam pojęcia, że moje życie zmieni się na zawsze. 14 czerwca 2009 roku bardzo wyraźnie zapisał się w mojej pamięci - nadal pamiętam wszystkie szczegóły.

Tamtego ranka obudziłam się wcześniej niż zazwyczaj, miałam bowiem wziąć udział w wielkich zbiorach fałsy*. Zaproponowała mi to miła sklepikarka Farah:

*Falsa - pochodząca z języka urdu nazwa rośliny z gatunku *Grewia asiatica*, hodowanej w krajach tropikalnych przede wszystkim ze względu na słodkokwaśne owoce. Posiada liczne właściwości zdrowotne (przyp. tłum.).

- Jeśli chcesz, możesz jutro przyjść pozbierać owoce na krańcu wioski. Wiesz, na polu, należącym do Nadeemów, tej bogatej rodziny, która mieszka w Lahaur. Płacą 250 rupii.

- Dziękuję ci bardzo, Farah. Przyjdę - odpowiedziałam, wychodząc z torbą pełną przypraw.

Jak każdej niedzieli, Ashią nie pracował tego dnia w cegielni. Był to jego zasłużony dzień odpoczynku. Kiedy ja przygotowywałam się do wyjścia, on jeszcze spał z zaciśniętymi pięściami w wielkim rodzinnym łóżku, razem z dwiema z naszych córek, również zmęczonych po całym tygodniu nauki w szkole. Zanim wyszłam, spojrzałam na nich z czułością, dziękując Bogu, że obdarzył mnie tak wspaniałą rodziną.

Próbowałam ostrożnie otworzyć drzwi, starając się nie narobić przy tym hałasu, bo od paru dni zamek nie działał, jak należy. Wprawdzie prosiłam Ashią, żeby go naoliwił, ale on miał paskudny zwyczaj zapominania o tym, o co go proszę, jeśli tego kilkakrotnie nie powtórzyłam. Zamek chrzęścił, musiałam popchnąć, żeby zaskoczył. Bach! Udało się, drzwi się otworzyły i mimo hałasu nikt się nie obudził. Całe szczęście. Ashią pracuje przez cały tydzień, wyrabiając cegły od rana do wieczora, a w czerwcowym duszącym upale to wyjątkowo męczące zajęcie.

Ashią wydawał się zmęczony i chciałam, by nabrał sił przed jutrzejszą pracą. Jestem bardzo dumna z faktu, że mój mąż produkuje cegły. Jego szef często powtarza swoim dziesięciu pracownikom:

- Jesteście filarem przemysłu budowlanego - dzięki cegłom, które cały dzień wyrabiacie, budujecie Pakistan i przyczyniacie się do wzrostu jego potęgi!

Ashią para się więc bardzo ważnym dla naszego kraju zajęciem. Pamiętam, że kiedy zaczął pracować, nie mogłam zrozumieć dlaczego, kiedy wracał wieczorem do domu, miał

stopy bardziej ubrudzone niż dłonie.

- Powiedz mi, Ashią, dlaczego masz czarne stopy, skoro jesteś murarzem? Powinieneś mieć chyba ubrudzone ręce...

Ashią długo śmiał się z tego, że nie wiem, jak się produkuje cegły. Trochę zdenerwowana, odpowiedziałam mu:

- No, ale skąd ja mam wiedzieć? To nie jest praca dla kobiet, a mój ojciec był chłopem, podobnie jak moi wujowie. Całe dni spędzali na polu, skąd więc miałabym to wiedzieć?

Ashią wyraźnie wzruszyła moja ignorancja. Wziął mnie za rękę i zaczął mi wszystko wyjaśniać:

- Kiedy przychodzę do cegielni, zaczynam od załadowania ziemi na wielką taczkę. Zwróć uwagę, że w pobliżu miejsc, w których wyrabia się cegły, jest zawsze wielki stos ziemi. Następnie w ogromnej kadzi mieszam ziemię z piaskiem. Trzeba bardzo uważać, żeby ziemi było dokładnie tyle, co piasku. A teraz ci wytłumaczę, dlaczego wracam do domu z ubrudzonymi stopami. Żeby dobrze wymieszać piasek z ziemią, zdejmuję sandały, wchodzę do kadzi i wyrabiam mieszaninę. Ugniatam ją, aż przybierze konsystencję ciasta. Żeby „ciasto” pozostało wilgotne, zawartość kadzi trzeba długo ugniatać nogami.

Nie mogłam uwierzyć w to, co opowiadał mi Ashiq.

- Ach, to dlatego masz czarne stopy... Mów dalej! Mów dalej! - powtarzałam jak dziecko, które słucha fascynującej bajki.

- Następnie wkładam masę do foremki i osuszam ją na słońcu przez parę godzin, żeby stwardniała. Potem wkładam foremkę do podziemnego pieca i zostawiam ją w nim na całą noc, żeby się wypaliła. Następnego dnia, kiedy wyciągam ją z pieca, mam gotową cegłę!

Uwielbiałam, jak ktoś mi coś tłumaczył, a Ashią opisywał wszystko ze szczegółami w tak ciekawy sposób! Nigdy bym nie uwierzyła, że produkcja cegieł może być aż tak interesująca.

- A kiedy pada, jak osuszacie foremki?

- Kiedy pada, staramy się je osuszać pod specjalną osłoną. Ale to trwa o wiele dłużej i czasami się zdarza, że deszcz przeniknie do cegły, zanim ta zdąży wyschnąć. Wtedy trzeba wszystko zaczynać od początku.

Byłam pod wrażeniem umiejętności, których wymagała jego praca. Sama umiem tylko pracować przy zbiorach i, mimo wszystkich wyjaśnień Ashią, nigdy nie dałabym rady wyprodukować cegły...

Kiedy wychodziłam z domu, było jeszcze wcześniej, choć zrobiło się już bardzo

ciepło. Wolałabym zostać i cieszyć się obecnością Ashiãa i dzieci... Żeby dodać sobie otuchy, myślałam o 250 rupiach, które zarobię pod koniec dnia. Dla nas - a nie jesteśmy bogaci - 250 rupii to bardzo wiele. Za pieniądze, które dostanę za udział w zbiorach będę mogła kupić dwa kilo mąki, z których napiekę ćapati* na cały tydzień.

*Ćapati - cienkie placki z mąki razowej, podstawowe danie kuchni południowej Azji (przyp. konsult.).

We wsi jest w zasadzie pusto, z wyjątkiem małych dzieci, które siedzą na ceglanych murze i z entuzjazmem powtarzają wersety z Koranu, których nauczyły się poprzedniego dnia w swej małej madrasie. Uśmiecham się do nich i idę dalej pustymi uliczkami. Ittan Wali to doprawdy nic specjalnego. Uliczki są pełne dziur, a rzeczka, przepływająca przez wioskę, byłaby pewnie całkiem miła, gdyby nie fakt, że jest w zasadzie ściekiem pod gołym niebem. Zapach, który się z niej unosi, często bywa naprawdę nieprzyjemny, zwłaszcza podczas największych upałów, ale przyzwyczaiłam się już do niego. Kiedy go czuję, wiem, że jestem u siebie. Nasza wioska jest bardzo uboga, choć ostatnio odnowiono madrasę. Jest teraz jak nowa - tak powiedziała mi sklepikarka Farah, która każdego piątku po południu, po wielkiej modlitwie, zaprowadza do niej swojego syna Zoeba.

- Szkoda, że nie możesz tam iść, Asia... Zobaczyłabyś, że wszędzie położyli małe niebieskie kafelki i odmalowali wszystko na białe. Pięknie to wygląda.

Powiedziałam sobie w duszy, że dobrze by było, gdyby przy okazji kolejnych remontów w wiosce wyrzucono zalegające w niej odpady.

Tego dnia droga, dzieląca mnie od pola, na którym miały odbywać się zbiory, zdawała się nie mieć końca. Wokół mnie zamykał się płaski, monotony horyzont, a ziemia była cała spękana od suszy. Kiedy podniosłam głowę, omal nie wpadłam na kobietę z twarzą zakrytą zniszczoną chustą. Wzięła mnie za rękę. Dziecko, które siedziało okrakiem na jej plecach, było bardzo brudne. Kobieta wyglądała na naprawdę biedną. Uniosła rękę w kierunku mojej twarzy, po czym bez słowa, nieśmiało uchyliła chustę, trochę zawstydzona. Nagle przeszedł mnie dreszcz - rysy jej twarzy były po prostu roztopione. Miała przeżartą, spaloną skórę. Sprawiała wrażenie praktycznie ślepej... Zrozumiałam. Kwas wyżarł ponad połowę jej twarzy.

- Kto ci to zrobił?

- Mój mąż. Oblał mnie kwasem, kiedy spałam, tak po prostu, bez powodu. To było już dawno temu.

Poczułam żal i współczucie, ale nie miałam niczego, co mogłabym jej dać, nawet pomarańczy. Odwróciłam się i pokazałam jej moją wieś, która znajdowała się kilkaset

metrów za naszymi plecami.

- Przyjdź do mnie jutro, będę miała coś dla ciebie. Mieszkam na rogu ulicy, za niebieskimi, metalowymi drzwiami. Pytaj o dom Asii.

Podziękowała mi lekkim stuknięciem w czoło, po czym ruszyła dalej w przeciwnym kierunku.

W końcu widzę pole, na którym mają odbywać się zbiory. Pracuje już około piętnastu kobiet. Klęczą skulone w kucki, z wygiętymi plecami, do połowy zasłonięte przez wysoką trawę. Z powodu upału dzień będzie na pewno wycieńczający, ale potrzebuję tych 250 rupii. Kilka kobiet wita mnie uśmiechem. Rozpoznaję moją sąsiadkę Musarat, która jest szwaczką w naszej wiosce. Witam ją przyjaznym gestem, ale ona natychmiast zanurza głowę w krzakach. Musarat raczej nie pracuje przy uprawach, rzadko ją widuję na polu. Myślę sobie, że pewnie jej rodzina jest teraz w gorszej sytuacji. W końcu wszystkich dotyka bieda. Kiedy wychodzę od siebie i mijam jej dom, zielone drzwi są zawsze uchylone. Widać przez nie, jak całymi dniami siedzi na podwórku i pracuje przy swojej starej maszynie do szycia, otoczona kurami. Nie sądzę, by Musarat miała złą wolę, ale wszyscy uważają ją za starą jędzę, która musi wiedzieć wszystko o wszystkim, co się wokół dzieje. Jakaś kobieta o surowym obliczu, w pocerowanym ubraniu, podchodzi do mnie, niosąc żółtawą miskę.

- Jak ją napełnisz, dostaniesz 250 rupii - oświadcza chłodno.

Spoglądam na ogromne naczynie i od razu wiem, że nie skończę przed zmrokiem. Zdaję też sobie sprawę, patrząc na miski pozostałych kobiet, że moja jest największa. Dają mi do zrozumienia, że jestem chrześcijanką... To stała praktyka. Często za identyczną pracę chrześcijanom płaci się mniej niż muzułmanom. Na szczęście Ashią nie pada ofiarą tej niesprawiedliwości. W cegielni dostaje swoje 6000 rupii miesięcznie, tak jak jego muzułmańscy koledzy. Jego szef traktuje wszystkich jednakowo.

Zbieranie fałszy wymaga dużo ostrożności i uwagi. Muszę delikatnie chwytać malutkie, czerwone kuleczki, by oderwać je od gałązek, nie rozgniatając ich przy tym. To trudne zadanie. Trzeba sobie torować drogę wśród krzewów i szukać maleńkich owoców zwisających z kolczastych gałązek. Przyciągam do siebie gałązki, które drapią mnie prawie za każdym razem, i z największą ostrożnością zrywam po kolei jagódki, cały czas uważając, by nie podrapać sobie rąk. Powtarzam te same gesty w nieskończoność, ale kiedy zatrzymuję wzrok na zawartości miski, zauważam, że wypełniła się dopiero do połowy. Mimo całej mojej przezorności, mam podrapane ręce, a opuszki palców wilgotne i czerwone, jakbym zanurzyła je w pojemniku z farbą. Jest południe i słońce grzeje bardzo mocno - musi być powyżej 45 stopni. Oblewa mnie pot i czuję się wycieńczona przez duszący upał. Myślę o rzece, która

graniczy z naszą wioską. Tak bardzo chciałabym do niej wskoczyć, żeby się orzeźwić!

Jako że nie mam szans na kąpiel, postanawiam wydostać się z kłujących krzaków i kieruję się w stronę studni, znajdującej się jakieś dziesięć metrów dalej. Czuję miły chłód, bijący od starego kamienia. Pochyliam się, aby zobaczyć, czy w środku jest woda. Przypomina mi to o tragicznym wypadku, który zdarzył się, kiedy byłam mała. Miałam dziewięć lat, gdy pewnego dnia ciotka Nur wpadła roztrzęsiona do domu moich rodziców:

- Czy widziałaś Shana? - przerażona spytała moją matkę.

- Nie. Asia, a może ty go widziałaś?

Shan był moim młodszym kuzynem. Miał trzy latka.

- Nie. Co się stało?

Ciotka była cała we łzach.

- Zgubił mi się ponad godzinę temu i nikt nie ma pojęcia, gdzie może być. Nikt go nie widział.

Mężczyźni i kobiety z wioski szukali go przez całą noc - na próżno. Następnego dnia rano jedna z wieśniaczek znalazła ciało Shana w czarnym otworze studni. Nikt nie wpadł na pomysł, żeby tam zajrzeć. Myślę o tej tragedii za każdym razem, gdy napełniam wiadro wodą. To zdarzenie odcisnęło na mnie piętno do tego stopnia, że zabroniłam dzieciom zbliżać się do studni w naszej wiosce - nawet mojej starszej córce, która ma już trzynaście lat.

Przypatruję się moim towarzyszkom, z głowami i rękami zanurzonymi w gęstwinie krzewów lub w miskach. Wydają się tak zaabsorbowane swoim zajęciem... Pomimo upału kontynuują swoją pracę z podobnym zapałem, co na początku. Wyciągam wiadro napełnione wodą i zanurzam w niej stary kubek, stojący na skraju studni. Chłodna woda mnie orzeźwia. Piję wielkimi haustami - i od razu czuję się lepiej. Wypijam kolejny kubek.

W tym momencie zaczynam słyszeć pomruki. Nie zwracam na nie uwagi i po raz kolejny napełniam szklankę. Tym razem podaję ją stojącej obok kobiecie, która wygląda na zmęczoną. Kobieta wyciąga ramiona z uśmiechem... Dokładnie w tej chwili Musarat wynurza swoją wścibską głowę zza krzaków i rzuca mi nienawistne spojrzenie:

- Nie pij tej wody, ona jest haram!

Podskakuję i wytrącam z rąk kubek, zanim kobieta zdąży go chwycić. Musarat zwraca się do wszystkich zbieraczek, które, jak tylko usłyszały słowo haram, nagle przerwały swoją pracę.

- Słuchajcie mnie wszystkie! Ta chrześcijanka skalala wodę, pijąc z naszego kubka i zanurzając go kilkakrotnie w studni. Woda jest teraz nieczysta! Przez nią nie możemy już jej pić!

To, co mówi ta stara wiedźma Musarat, jest tak niesprawiedliwe, że postanawiam się bronić i nie dawać za wygraną.

- Myślę, że Jezus miałby w tej kwestii odmienne zdanie od Mahometa.

Musarat omal nie wybucha z wściekłości.

- Jak śmiesz się wypowiadać w imieniu Proroka, dziwko!

Trzy inne kobiety zaczynają krzyczeć jeszcze głośniej:

- To prawda! Jesteś tylko brudną chrześcijanką! Zbrukałaś naszą wodę, a teraz ośmielasz się mówić w imieniu naszego Proroka? Czy ty wiesz, suko, że twój Jezus był zwykłym bękartem, bo nie miał prawowitego ojca? Za to Mahomet miał ojca, który go uznał. Był nim Abdullah. Abdullah - mówi ci to coś? Jezus jest nieczysty, tak jak ty!

- To nieprawda - odpowiadam ze spokojem. - Idźcie zapytać mułły we wsi.

Musarat zbliża się do mnie, jakby chciała mnie uderzyć, i wrzeszczy:

- Tylko jedna rzecz ci pozostała: przejść na islam, odrzucić swoją brudną religię.

Czuję się zraniona. My, chrześcijanie, zawsze milczymy. Uczy się nas od małego, że mamy nic nie mówić i siedzieć cicho, bo jesteśmy mniejszością. Ale mam buntowniczą naturę i chcę zareagować, chcę bronić swej wiary. Nie pozwolę tym kobietom w tak obraźliwy sposób atakować mojej religii.

Biorę głęboki oddech, napełniam płuca odwagą.

- Nie chcę przechodzić na islam. Jestem wierna swojej religii i Jezusowi Chrystusowi, który umierając na krzyżu, poświęcił się za grzechy ludzkości. Co zrobił wasz Prorok, by uratować ludzi? I dlaczego to ja powinnam zmieniać wiarę, a nie wy?

W tym momencie nienawiść wybucha ze wszystkich stron. Zebrane wokół mnie kobiety zaczynają krzyczeć:

- Jak śmiesz mówić coś podobnego o naszym Proroku - ty, która jesteś zerem, brudną rzeczą, nie zasługującą na to, by żyć? Nic nie jesteś warta! Twoje dzieci również! Gorzko zapłacisz za to, co właśnie powiedziałaś o naszym świętym Proroku!

Dotknęły mnie te słowa pełne agresji i nienawiści, jednak odpowiadam po raz kolejny:

- Nie powiedziałam nic złego, po prostu zadałam wam pytanie...

Jedna z kobiet chwyta moją miskę i przesypuje jej zawartość do swojej. Kolejna mnie popycha, a Musarat całą swoją postawą okazuje mi pogardę. Któraś z kobiet podstawia mi nogę, podczas gdy reszta mnie potrąca. Upadam na ziemię. Śmieją się.

- Kurwa! Brudna kurwa! Jesteś skończona!

Widzę ich nienawistne, piorunujące spojrzenia... Podrywam się, znajduję siłę, by wstać i uciekam co sił w nogach w stronę wioski. Kiedy jestem już daleko, nadal słyszę, jak

mi złorzeczą. Gdy przechodzę przez niebieskie drzwi, spostrzegam Ashią, naoliwiającego zamek w sypialni. Płacę tak bardzo, że z trudem oddycham. Ashią odstawia fiolkę z olejem i podchodzi do mnie.

- Co się dzieje, Asia?

Próbuję złapać oddech, szlochając, i o wszystkim mu opowiadam: o studni, o kobietach, o nieczystej wodzie, bo piłam z kubka, o wybuchu nienawiści, o przekleństwach i ciosach. Płacę coraz głośniej. Ashią proponuje, bym weszła do pokoju i położyła się na łóżku. Siada koło mnie i głaszcze mnie po włosach, żeby mnie uspokoić.

- Nie przejmuj się, już po wszystkim. Nie myśl o tym więcej. Jestem pewien, że one już zapomniały o tej historii.

Mimo pocieszających słów Ashią fala wyzwisk, które usłyszałam, nadal mnie prześladowuje i nie daje mi spokoju. Cały czas szlocham.

W końcu usypiam, z dłonią męża przy twarzy.

3

Nie widziałam już gwiazd
Obudziłam się zrana potem.

Było mi zimno i źle się czułam. Choć trwała jeszcze noc, nie udało mi się z powrotem zasnąć. Ashią i dzieci spali jak susły. Usiadłam na naszym rodzinnym łóżku, prześladowana przez złe wspomnienia ze zbiorów: pełną nienawiści Musarat, wściekłość pozostałych kobiet, okropne wyzwiska, splunięcia, ciosy.

Rozległ się śpiew muezzina, było więc wpół do szóstej. Lubię słuchać rozbrzmiewających pięć razy dziennie nawoływań na modlitwę. Choć nie chodzę do meczetu, stanowią dla mnie rodzaj punktu odniesienia. Dzięki nim wiem, kiedy należy wrócić do domu, żeby przygotować posiłek, albo o której odebrać dzieci ze szkoły. Tego poranka mułła wydawał się być w dobrej formie. Śpiewał ładnie, w harmonijny sposób. Mimo że jestem katoliczką, lubię, jak kołyszą mnie wersety Koranu. Czasami śmiejemy się z Ashią z mułły, kiedy nie śpiewa tak, jak należy, albo kiedy w piątkowe południe, w dniu wielkiej modlitwy, krzyczy i nieomal dusi się przed mikrofonem - tak bardzo chce dobrze wypaść. Nie wiem, czy bawi to muzułmanów, ale gdyby to dotyczyło księdza, z pewnością bylibyśmy z Ashią równie rozbawieni.

Śpiew muezzina wnosi radość do naszego domu - i kiedy myślę o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia, robi mi się smutno, bo naprawdę jesteśmy szczęśliwi w naszej małej wiosce, zagubionej wśród pól pszenicy i trzciny cukrowej. Ittan Wali nie jest dużą miejscowością. Jeśli wliczyć budynki stojące samotnie wokół, dałoby to łącznie, z tego, co mówi Farah, jakieś trzysta rodzin. Nasza wieś jest brudna i zakurzona, ale to właśnie tutaj jestem u siebie.

Wszystkie domy we wsi są do siebie podobne. Polepa jest w opłakanym stanie i brak w nich bieżącej wody. Ale my, na szczęście, mamy elektryczność, a ściany naszego domu należą do nas. To znaczy, że nie musimy płacić czynszu i nie ryzykujemy, że któregoś dnia zostaniemy wyrzuceni na bruk. Nasz dom jest bardzo skromny - w zasadzie to pojedyncza izba z małym, zamkniętym podwórkiem. Lubię na nim gotować w wielkim garnku z czarnego żeliwa. Garnek już gwiazd pozostaje zawsze w gotowości - a to trzeba w nim zaparzyć wodę na herbatę, a to ugotować ryż. Ja, Ashią, cztery córki i syn - wszyscy jesteśmy szczęśliwi, że mamy dach nad głową. Każdego dnia dziękuję Bogu, że pozwolił nam żyć spokojnie, bez strachu, że w każdej chwili moglibyśmy być pojmani lub zaatakowani. Nie wszędzie tak jest.

Często słyszy się o masakrach dokonywanych na chrześcijanach przez muzułmanów.

Jak zapomnieć o tym, co stało się w Godźra, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów stąd? Wszyscy o tym mówili, nawet mieszkańcy wioski, którzy nie są chrześcijanami, byli zszokowani tym okropnym wydarzeniem.

Sądząc po tym, co nam tutaj powiedziano, grupa rozwścieczonych muzułmanów zaatakowała wieś Korian i zniszczyła setki domów, które należały do żyjących obok siebie chrześcijańskich rodzin. Stwierdzili, że chrześcijanie sprofanowali Koran, wydarłszy kartki ze świętej księgi, a następnie zdeptali je przy wyjściu z kościoła, po tym jak wzięli udział w ceremonii ślubnej. Trudno nam było z Ashiąm w to uwierzyć. To niepodobne do tutejszych chrześcijan, by dopuszczać się takiej prowokacji, zwłaszcza po celebracji małżeństwa w domu Bożym. Jednak wściekli muzułmanie na tym nie poprzestali - dwa dni później wszyscy w regionie wiedzieli, że chrześcijanie obrazili Koran. Setki niesłuchanie wzburzonych muzułmanów - jak mówiła właścicielka sklepu spożywczego - w akcie zemsty zaatakowały dużą kolonię chrześcijańską w Godźrze. Wszędzie siali postrach, niszcząc żelaznymi prętami wszystko, co znalazło się na ich drodze, łącznie z protestanckimi świątyniami. W lokalnych wiadomościach poinformowano, że policja nie reagowała - nawet kiedy wandale zaczęli podkładać ogień. W efekcie wszystko, co mogło spłonąć, poszło z dymem. Nie tylko budynki - żywcem we własnych domach spłonęło dziewięcioro chrześcijan, w tym trzy kobiety i troje dzieci uwięzionych przez pożar. Zginęli w koszmarny sposób. Słuchając opowieści o tym morderczym szaleństwie, miałam dreszcze na całym ciele. Uczepiłam się ramienia Ashią.

- Myślisz, że i nam mogłoby się przydarzyć coś podobnego?

- Skądże, nie martw się! Wiesz przecież, że tutaj nikt nam źle nie życzy - zapewnił mnie.

Mimo wszystko odczuwałam pewien niepokój i przepelniał mnie ból i poczucie solidarności z tymi chrześcijanami, którzy w okamgnieniu, bez najmniejszego powodu znaleźli się w samym środku piekła.

Wszyscy słyszeli o tej strasznej historii. Nawet prezydent Pakistanu powiedział, że nie można akceptować tego typu bezprzykładnych ataków na mniejszości religijne.

Tymczasem chrześcijańska kolonia obróciła się w perzynę, a sami chrześcijanie, którzy już wcześniej byli bardzo biedni, zostali zupełnie bez niczego.

Zszokowani i przerażeni, po tej historii staraliśmy się tym bardziej nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy na przykład byłam w wiosce i słyszałam śpiew muezzina, poprawiałam dupattę* na głowie tak, aby dokładnie zakryć włosy i pokazać, że choć jestem chrześcijanką, szanuję religię moich muzułmańskich sąsiadów. Również podczas ramadanu nasze życie ulegało zmianie. W ciągu dnia nie jedliśmy i nie piliśmy poza murami naszego domu.

Chowaliśmy się, by nie denerwować muzułmanów, którzy i tak są w tym okresie w fatalnym humorze. Nawet właścicielka sklepu spożywczego, zazwyczaj tak miła, gubi gdzieś wówczas swój uśmiech. Rozumiemy z Ashią muzułmanów. Naprawdę bardzo trudno odmawiać sobie picia w 40-stopniowym upale. Z powodu postu życie zwalnia w zasadzie na dwa miesiące. Mieszkańcy wioski są zmęczeni, bo nie jedzą w ciągu dnia, wyczerpuje ich upał, a do tego są zmuszeni do abstynencji seksualnej. Często więc popołudniami raczej śpią, niż pracują. Wioska sprawia wrażenie wyludnionej, nikogo nie ma na ulicach. Metalowe rolety sklepików podnoszą się dopiero o zachodzie słońca, w porze iftaru*. Wtedy mieszkańcy wsi na powrót się uśmiechają, a wielkie stoły zastawiają jedzeniem i zapraszają się nawzajem, by świętować zakończenie postu. Nas nigdy nie zaproszono, ale to normalne, bo jesteśmy chrześcijanami. Ten okres jest jeszcze trudniejszy dla Ashią, który, pracując w cegielni, bardzo lubi palić papierosy. Jednak powstrzymuje się od tego, by nie prowokować swoich kolegów, którzy nie mogą palić w ciągu dnia.

*Dupatta - długa chusta, tradycyjnie noszona przez kobiety. Dupatty wyrabia się z różnych materiałów i dobiera w zależności od reszty stroju. Nosi się je na głowie, przerzucone przez oba ramiona bądź przewiązane przez jedno ramię (przyp. tłum.).

Wciąż siedzę na łóżku. Cały czas myślę o kobietach, które poprzedniego dnia zarzuciły mi, że źle mówię o ich religii. To takie niesprawiedliwe. Nie skrytykowałam ich wiary. Jednak, zamiast spuścić głowę i nic nie mówić, jak powinni postępować chrześcijanie niezależnie od okoliczności, zareagowałam na tę prowokację i spytałam, dlaczego to ja powinnam zmieniać religię. Jak na tutejszą chrześcijankę to stanowczo zbyt wiele.

*Iftar - pierwszy posiłek spożywany przez muzułmanów po zachodzie słońca podczas ramadanu (przyp. tłum.).

Kiedy byłam mała, matka wyjaśniła mi, dlaczego nazywają nas „nietykalnymi”: wywodzimy się od hinduistów już gwiazd z niskiej kasty, którzy przeszli na chrześcijaństwo w czasach, gdy Pakistan zdobywał niepodległość. Nie wiem, jak żyje się chrześcijanom w innych miejscach na świecie, ale chrześcijanie w Pakistanie czują się trochę jak sieroty we własnym kraju. Nawet jeśli rząd gwarantuje nam te same prawa co pozostałym obywatelom, to społeczeństwo nie zawsze nas akceptuje.

W naszym domu nie ma ani krzyża, ani ikony Najświętszej Pani - tylko mała Biblia, schowana pod materacem. Ani ja, ani Ashią nie umiemy czytać, ale ta Biblia jest naszym małym skarbem, częścią nas.

Wstaje nowy dzień. Dzieci jeszcze śpią, a zaspany Ashią dziwi się, że jestem na nogach tak wcześnie rano.

- Asia, co robisz?

- A, nic takiego... Myślałam o tym, co się wczoraj stało. Jestem trochę zaniepokojona, bo do tej pory nie mieliśmy żadnych problemów. Boję się, co się teraz może wydarzyć.

- Zupełnie niepotrzebnie się martwisz - odpowiada Ashią, ziewając. - Myślę że stanowczo za dużo się denerwujesz.

Po odprowadzeniu dziewczynek do szkoły postanawiam wpaść z wizytą do Józefiny. Jak wszyscy chrześcijanie, my również żyjemy w odosobnieniu i mamy bardzo niewielu przyjaciół. Tak jest we wszystkich wioskach rozrzuconych po Pendżabie. Muzułmańskie rodziny unikają z nami kontaktu, poza Farą, która ma sklep spożywczy i z którą widzę się codziennie - dla niej nasza wiara nie ma żadnego znaczenia. Pozostali mieszkańcy nie są do nas wrogo nastawieni, ale przez większość czasu nas ignorują. Na szczęście nie jesteśmy zupełnie sami, bo w wiosce mieszka jeszcze jedna chrześcijańska rodzina. Dzielimy ze sobą nasze troski i radości i wspieramy się za każdym razem, kiedy to możliwe. Pomogłam Józefinie wydać na świat jej troje dzieci - i ona również pomogła mi urodzić w domu. Jest wprawdzie we wsi akuszerka, która mieszka dwie ulice ode mnie, ale ona nie chce asystować chrześcijańskim matkom. Nie mam jej tego za złe. Rozumiem, że się boi, bo mogłaby mieć z tego powodu duże nieprzyjemności. Z Józefiną znamy się od dawna i od lat wspólnie świętujemy najważniejsze chrześcijańskie święta, jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc.

Józefina mieszka zaledwie kilkaset metrów ode mnie. Idę zapadłą uliczką i po chwili znajduję się przed jej drzwiami. Na szczęście jest u siebie, zajęta rozwieszaniem prania na podwórku. Staram się przybrać radosny ton, kiedy się z nią witam.

- Dzień dobry!

- Dzień dobry, Asia! Co za miła niespodzianka! Wchodź szybko do środka. Siadaj, zaraz podam ci herbatę.

Józefina jest zawsze w dobrym humorze - czego nie może o mnie powiedzieć Ashią, który nieraz zwraca mi uwagę, że nagle, bez powodu zmienia mi się nastrój. To chyba prawda, bo moja matka też mi to powtarzała. Józefina jest wyższa i lepiej zbudowana ode mnie. Ma ładną twarz i spojrzenie zarazem figlarne i dobrodusze.

- No i jak, Asia? - odzywa się, niosąc w dłoniach dwie puste filiżanki. - Jak się miewasz?

- Nie najlepiej. Jestem trochę zaniepokojona i dlatego do ciebie przyszedłam. Chciałabym poznać twoją opinię.

Opowiadam jej o wszystkim, co się wydarzyło podczas zbiorów - o Musarat, o reszcie muzulmańskich kobiet... Nie pomijam żadnego szczegółu.

- Hm... - Józefina sprawia wrażenie nieco strapionej.

- Dla nas, chrześcijan, to nic dobrego mieć na koncie taki incydent z muzułmanami. Wiesz, za kogo nas uważają. Nie powinnaś była mówić o Proroku. Niemal nie wolno nam wymawiać jego imienia.

Przerażają mnie jej słowa.

- Wiem, ale to one zaczęły mnie atakować, wymyślając całą tę historię z nieczystą wodą!

- Uspokój się, Asia. Nic ci nie zrobią. Ale na przyszłość bądź bardziej ostrożna i nie odpowiadaj na ich zaczepki, nawet jeśli znowu zaczną.

- Obiecuję. Ach, właśnie! Za kilka dni organizują kolejne zbiory. Nie mogę nie iść, zwłaszcza że wczorajsze 250 rupii przeszło mi koło nosa. Chciałabym, żebyś tam ze mną poszła. Boję się, że jeśli pójdę sama, to wpadnę na te kobiety. One tam pewnie będą.

Józefina zastanawia się przez chwilę.

- No, proszę cię! Zgódź się!

- Dobrze - odpowiada w końcu. - Pójdę z tobą.

- Dziękuję! Dziękuję!

Jestem jej tak wdzięczna, że klaskam w dłonie i podskakuję ze złączonymi stopami na jej małym podwórku.

Pięć dni później wtrącono mnie do więzienia.

Znalazłam się za tymi kratami, w tym grobie pozbawionym słońca i gwiazd.

Właśnie sobie uświadomiłam, że już od dwóch lat gwiazd. Przez pierwsze miesiące nie zdawałam sobie nawet sprawy, że mi ich brakuje. Dopiero potem zrozumiałam, że to nienaturalne zostać pozbawioną widoku gwiazd i księżyca. Brakuje mi ich prawie tak bardzo jak dziennego światła, słońca, drzew i ptaków. Czuję się w tej celi jak w studni pozbawionej wody. Chciałabym móc przywitać się z księżycem albo ze słońcem, choć raz, żeby się przekonać, czy i ich przypadkiem nie powieszono. Chciałabym popatrzeć na perły, którymi utkane jest nocne niebo - tak jak robiłam to w letnie noce z moimi córkami, leżąc na ćarpai (tak nazywamy łożka z plecionki) na naszym podwórku.

Od 19 czerwca 2009 roku żyję pozbawiona podstawowych rzeczy, na które nie zwraca się uwagi, jeśli nie jest się od dłuższego czasu zamkniętym w więzieniu.

Kiedy przyszłam po Józefinę i miałyśmy razem iść na pole, byłam raczej dobrej myśli. Każda z nas zabrała ze sobą manierkę z wodą, by uniknąć kłopotów ze studnią. Od awantury minęły cztery dni i, chociaż za często nie wychodziłam z domu, nie dostrzegłam różnicy ani w spojrzeniach, ani w zachowaniu ludzi we wsi.

Kiedy zbliżyliśmy się do pola, zauważyłam kobiety przy pracy i wpadłam w panikę.

- Józefino! Popatrz! One tam są!

- Nie przejmuj się i zachowuj się naturalnie. Nie patrz w ich kierunku, a wszystko będzie dobrze.

Posłuchałam jej. Kiedy weszliśmy na pole, Musarat i reszta kobiet podniosły głowy na nasz widok, ale po chwili z powrotem zabrały się do pracy, jak gdyby nas tam w ogóle nie było.

- Widzisz? - szepnęła mi do ucha Józefina. - Zupełnie niepotrzebnie zrobiłaś wielką aferę. Wszystko jest w porządku.

Kiedy już prawie napełniłam miskę, usłyszałam nagle wzburzony, rozkrzyczany tłum. Odstąpiłam od krzaka, zastanawiając się, co się dzieje i ujrzałam dziesiątki mężczyzn i kobiet idących zdecydowanym krokiem z rękami wyciągniętymi ku górze.

Spojrzałam na Józefinę, potrząsając ze zdziwienia ramionami. Ona również nie wiedziała, o co może chodzić.

Po chwili natknęłam się na wzrok okrutnej Musarat. Była z siebie wyraźnie zadowolona i całą sobą okazywała mi pogardę. Zadrzałam i nagle zdałam sobie sprawę, że nie mogła zostawić tej sprawy tak po prostu. Wyglądała, jakby przepelniała ją żądza zemsty. Tymczasem rozjuszony tłum zbliżał się coraz bardziej i w końcu wkroczył na pole. Wyrósł tuż przede mną - wygrażający, krzyżący.

- Zabieramy cię do wioski, brudna suko! Znieważyłaś naszego Proroka i zdechniesz za to!

Wszyscy zaczynają krzyżeć:

- Śmierć jej! Śmierć chrześcijance!

Szukałam wzrokiem Józefiny, ale rozwścieczony tłum coraz bardziej zacieśnił się wokół mnie. Niemal leżałam na ziemi, kiedy dwóch mężczyzn chwyciło mnie za ramiona i pociągnęło z całej siły. Wydałam z siebie ciche, płaczliwe jęki:

- Ale ja nic nie zrobiłam, zostawcie mnie, błagam! Nie zrobiłam nic złego!

W tej samej chwili dostałam cios w twarz. Bolał mnie nos. Krwawiłam. Ledwo trzymałam się na nogach. Ciągnęli mnie, jakbym była upartym osłem. Wszystko, co mogłam w tej chwili zrobić, to im ulec i modlić się, by to się wreszcie skończyło. Spojrzałam na tłum, który tryumfował, widząc mój nikły opór. Słaniałam się, czułam ciosy na nogach, plecach, z tyłu głowy. Myślałam, że może jak przybędziemy do wioski, ten koszmar się skończy. Ale było coraz gorzej, ludzi przybywało, a tłum stał się coraz bardziej agresywny. Zdwoił okrzyki, w których życzył mi śmierci.

- Ona znieważyla naszego Proroka - zasługuje na to, by wyłupić jej oczy! - rzuciła jakaś kobieta, której, ale która wyraźnie była bliska hysterii.

- Trzeba ją przeciągnąć przez całą wieś jak zwierzę, ze sznurem u szyi! - dodała kolejna.

Tłum, coraz gęstszy, wepchnął mnie do domu sołtysa

- rozpoznałam go, bo tylko tutaj był ogród z trawnikiem. Rzucono mnie na ziemię. Wiejski imam zwrócił się do mnie:

- Powiedziano mi, że znieważylaś naszego Proroka. Wiesz dobrze, co spotyka tych, którzy atakują świętego Proroka Mahometa - masz do wyboru konwersję albo śmierć, byś mogła zmazać swój grzech.

- Błagam! Nic nie zrobiłam, nic złego nie powiedziałam!

Qari*, z długą, starannie ufryzowaną brodą, zwrócił się więc do Musarat i trzech innych kobiet, które uczestniczyły tego dnia w zbiorach owoców.

*Qari (z ar. „czytający”) - w islamie osoba, która recytuje Koran zgodnie ze sztuką tadżwidu (recytacji) (przyp. tłum.).

- Czy ona mówiła źle o muzułmanach i o naszym świętym Proroku Mahomecie?

- Tak, była obelżywa - odpowiada Musarat.

- To prawda, obraziła naszą religię - dodają pozostałe.

- Jeśli nie chcesz umrzeć - dorzucą młody mułła - musisz przejść na islam. Jesteś gotowa oczyścić się z grzechu i zostać dobrą muzułmanką?

Odpowiadam, szlochając:

- Nie, nie chcę zmieniać religii. Zaklinam was, nie zrobiłam tego, co mówią te kobiety. Nie obraziłam waszej wiary. Mieście nade mną litość.

Błagałam go, wyciągając doń złączone dłonie. Ale jego to nie wzruszyło.

- Kłamiesz! Wszyscy mówią, że dopuściłaś się bluźnierstwa, a to wystarczający dowód. Chrześcijanie muszą się podporządkować pakistańskiemu prawu, które zakazuje jakichkolwiek obraźliwych uwag pod adresem świętego Proroka. Skoro nie chcesz przejść na islam, a Prorok nie może się bronić, będziemy musieli go pomścić.

Odwrócił się na piętach, a na mnie rzucił się rozwścieczony tłum. Otrzymałam ciosy kijem, zostałam opluta - miałam wrażenie, że zaraz umrę. Po chwili ponownie usłyszałam pytanie:

- Czy chcesz przyjąć religię godną swego imienia?

- Nie, proszę, jestem chrześcijanką, ale błagam...

Po czym znowu, z podobną zapalczywością, wymierzono mi ciosy.

Byłam prawie nieprzytomna i już niemal nie czułam bólu w ranach, kiedy przybyła policja. Dwóch policjantów wrzuciło mnie do wana wśród owacji rozwścieczonego tłumu i po kilku minutach wylądowałam w komisariacie w Nankana Sahib.

Posadzili mnie na ławce w biurze szefa policji. Poprosiłam o wodę i okłady, żeby opatrzyć krwawiące rany na nogach. Młody policjant rzucił mi starą kuchenną ścierkę, plując na mnie:

- Masz, tylko jej całej nie uświń.

Bardzo bolała mnie ręka. Miałam wrażenie, że jest złamana. W pewnej chwili zobaczyłam, jak wszedł ąari razem z Musarat i całą bandą. Tłumaczyli przy mnie szefowi policji, że obraziłam Proroka Mahometa. Słyszałam dobiegające z zewnątrz okrzyki: „Śmierć chrześcijance!”.

Po spisaniu zeznań policjant odwrócił się w moją stronę i zapytał złośliwie:

- No, i co ty na to?

- To nieprawda, jestem niewinna! Nie obraziłam Proroka!

Natychmiast po tym wyznaniu zostałam siłą posadzona w policyjnym wanie. Podczas jazdy zemdlałam z bólu. Odzyskałam przytomność, kiedy dojeżdżaliśmy do więzienia w Śechupurze. Tam wrzucono mnie do celi.

Od tamtego dnia nie opuściłam więzienia. Minęły już dwa lata.

Gdy po raz pierwszy znowu ujrzałam Ashią, spędziłam już miesiąc za kratkami - bez wizyt i bez żadnych wyjaśnień.

Mogliśmy się spotkać w biurze dyrektora więzienia. Płakaliśmy, dopóki starczyło nam łez. Pamiętam, że Ashią, zanim zapytał, co u mnie słychać, odezwał się poważnym tonem:

- Słyszałem, że zostałeś zgwałcona przez mężczyznę ze wsi. Czy to prawda?

- Nie, to nieprawda. Pobili mnie prawie na śmierć i pastwili się nade mną, ale nie zgwałcili - odparłam.

Wyglądało na to, że Ashią doznał prawdziwej ulgi. Chwilę potem powiedział, że z dziećmi wszystko w porządku. Teraz i ja poczułam, że zdjęto ze mnie ogromny ciężar.

- A ty, mój drogi - spytałam go w końcu - jak dowiedziałeś się o tym, co się stało? Co się dzieje w wiosce, odkąd mnie tu zamknęli?

Tyle słów cisnęło mi się na usta. Te pytania, i wiele, wiele innych, krążyły mi po głowie od miesiąca.

- Kiedy napadli na ciebie w domu sołtysa, Zueb, syn Fary, przyszedł do fabryki, by mnie ostrzec. Powiedział mi, że jesteś w poważnych tarapatkach. Pobiegłem do wsi co sił w nogach i kiedy w końcu do niej dotarłem, zobaczyłem, jak policjanci wsadzają cię do wozu.

Nie miałem odwagi, musisz mi to wybaczyć, ale kiedy zobaczyłem ten nienawistny tłum, nie śmiałem się zbliżyć.

Ashią opuścił głowę. Położyłam dłoń na jego dłoni, by dodać mu otuchy.

- Bałem się - kontynuował. - Wiedziałem, że gdyby mnie tam zobaczyli, mnie również by pobili. Uciekłem więc ze wsi i czekałem nad rzeką aż zapadnie noc. Kiedy zrobiło się ciemno, po cichu wróciłem do domu, do dzieci. Opiekowała się nimi Józefina, byli na podwórku. Kiedy Józefina mnie zobaczyła, zaczęła płakać. „Ashią, to straszne, zabrali Asię. Jest oskarżona o z powodu tego, co zaszło wtedy na polu”. Zrozumiałem, że sprawa jest bardzo poważna. Poprosiłem Józefinę, żeby zaopiekowała się dziećmi, bo sam musiałem się ukryć.

Strapiona mina mojego męża ścisnęła mnie za serce. Po chwili powiedział mi, że razem z dziećmi definitywnie opuścił nasz dom w dwadzieścia dni po moim aresztowaniu.

Nie mogli już dłużej mieszkać w Ittan Wali. Im także groziła śmierć, bo i ich uznano za bluźnierców - choć przecież zrobili jeszcze mniej ode mnie.

Jako że jesteśmy rodziną, wszyscy jesteśmy winni.

Śmierć przez powieszenie

8 listopada 2010 roku, po pięciominutowej naradzie, zapada wyrok - jak uderzenie pioruna.

„Asia Noreen Bibi, na mocy artykułu 295 C kodeksu pakistańskiego sąd skazuje panią na śmierć przez powieszenie i zarządza dodatkową karę finansową w wysokości 300 000 rupii”.

Sędzia unosi swą silną dłoń i uderzenie młotka roznosi się po całym pomieszczeniu. Lecz zanim echo zdąży rozejść się po sali, tłum już oklaskuje wyrok, który dla mnie oznacza śmierć. Jestem sama przeciw wszystkim, w asyście dwóch wyraźnie zadowolonych policjantów. Nie mam nikogo, z kim mogłabym podzielić się moim bólem - mój adwokat jest nieobecny, rodzina również - płaczę więc sama, z głową w dłoniach. Nie mogę dłużej znieść widoku tych nienawistnych ludzi, oklaskujących skazanie na śmierć biednej zbieraczki. Nie widzę już tłumy, ale nadal słyszę, jak z wiwatami przyjmuje sędziego Naveeda Iqbal. „Na śmierć, na śmierć! Allah akbar”. Wyjmuję głowę spomiędzy dłoni. Widzę niewyraźnie, ale udaje mi się wyczytać radość na trzech obliczach, do połowy zarośniętych gęstą brodą. To mułlowie, przybyli specjalnie na mój proces. Kiedy podnoszą się z krzeseł, rozgorączkowany tłum wciąż ich oklaskuje. Żadna spektaklu tłuszcza nie doznała zawodu. Nagle na sąd zaczyna napierać rozszalała horda, która wyważa drzwi, skandując: „Zadośćuczynienie świętemu Prorokowi, Allah jest wielki!”. Policjanci sprawujący nade mną nadzór szybko uznają, że najwyższy czas opuścić to miejsce, zanim będzie za późno. Siłą wyprowadzają mnie z sądu przez sekretne drzwi, po czym wrzucają mnie do furgonetki niczym stary worek na śmieci. Tak jakbym, za sprawą wyroku, straciła w ich oczach wszelkie ludzkie cechy. Dwóch mężczyzn przykuwa mnie do siedzenia w vanie, jak gdybym zamieniła się nagle w dziką bestię - a przecież w drodze do sądu nie wpadli na pomysł, by mnie przywiązać.

Nie mogąc poruszać rękami ani nogami, próbuję odszukać wzrokiem kawałek szyby bez krat, by wyrzeć na zewnątrz. Wiem, że Ashią jest gdzieś w pobliżu, ale na próżno staram się go dostrzec - nie widzę go.

Kiedy Ashią złożył mi w więzieniu wizytę parę dni przed procesem, uprzedził mnie:

- Gdybym przyszedł do sali sądowej, tłum mógłby mnie zlinczować... Będę na zewnątrz, blisko ciebie, żeby dowiedzieć się, jaki zapadł wyrok. Nie miej mi tego za złe, Asia. Zobaczymy się potem.

- Wiem, że to niebezpieczne. Nie przejmuj się, wszystko dobrze się ułoży. Jestem

przecież niewinna.

Ashią uśmiechnął się szeroko.

- Tak, już wkrótce będzie po wszystkim - i czas najwyższy, bo siedzisz tutaj już ponad rok. To dobrze, że w końcu odbędzie się twój proces. Już ustaliliśmy z dziećmi, że zorganizujemy dla ciebie przyjęcie powitalne u twoich rodziców. Wiesz, że trudno by nam było wrócić do Ittan Wali.

Płakałam z radości na myśl o spotkaniu z rodziną i wydostaniu się z tego piekła.

- Szkoda, że nie możemy wrócić do naszego domu, do naszej wsi, ale tak będzie rozsądniej. Poza tym już chyba nigdy nie zaznałabym u nas spokoju po tym, co zrobili mi ci ludzie.

Po raz pierwszy rozstaliśmy się z Ashią spokojnie. Nie powiedzieliśmy sobie tego na głos, ale obydwójce wiedzieliśmy, że spotykamy się w więzieniu po raz ostatni, bo po procesie będę w końcu wolna!

Jakże okrutne były godziny, które nastąpiły po ogłoszeniu wyroku śmierci...

Jestem zdruzgotana. Ponownie zamknięta na cztery spusty w tym nędznym więzieniu, którego miałam już nigdy więcej nie ujrzeć. Kara śmierci przez powieszenie... Co za koszmar! I jak gdyby tego było mało, że czeka mnie śmierć, muszę dodatkowo zapłacić karę w wysokości 300 000 rupii. Nie mam i nigdy nie będę miała podobnej sumy. Dlaczego aż tak się na mnie uwzięli? Mam im jeszcze płacić za to, że mnie zabiją?

Przywołuję w pamięci pewien szczegół, który być może okazał się decydujący - na minutę przed ogłoszeniem wyroku złożyłam odcisk kciuka na dokumentach, których nawet nie umiałam przeczytać. Naiwnie wierzyłam, że mnie uwolnią - byłam przecież niewinna... Na próżno wciąż od nowa przypominam sobie całą tę historię - nadal nie potrafię uwierzyć, że to koniec. Padłam ofiarą wielkiego nieporozumienia. Nawet jeśli ludzie są aż tak ślepi, to przecież Bóg i Święta Panienska wiedzą, że nie zrobiłam nic złego i że nie zasługuję na tyle cierpień.

Święta Mario, matko Boża, powierzam Ci swe modlitwy i cierpienia. Daj mi siłę, bym mogła postępować zgodnie z Twą wolą. Chroń moje dzieci i całą moją rodzinę. Spraw, byśmy pod Twoją opieką pozostali jednością.

Wspieraj nas w tym nieszczęściu. Pobłogosław nas i towarzyszy nam aż do chwili, w której na powrót się spotkamy, w Niebie, u Twego boku. Amen.

W wilgotnej, lodowatej celi myślę o wszystkich tych ludziach w sądzie i o Musarat, uradowanej brzmieniem wyroku. Jak mogą czerpać radość z czyjejś śmierci? Ludzkość musi stać się piękniejsza, lepsza, musi pójść naprzód! Czemu ja jestem inna? Czemu nie czerpię

przyjemności z patrzenia na cudze cierpienie? Nie jestem taka jak oni i pewnie dlatego mnie odrzucają, i chcą, bym zniknęła.

Prawo chce widzieć mnie martwą, ale to kara śmierci zamienia oskarżonych w ofiary, a sędziego w mordercę, podobnie jak tych, którzy go popierają! Nikogo przecież nie zabiłam ani nie obraziłam Proroka, jak więc mogli mnie tak potraktować? Mało wiem o świecie, ale pewnego dnia dowiedziałam się podczas mszy, że w wielu krajach zniesiono karę śmierci, a w tych, w których ją utrzymano, stosuje się ją wyłącznie, by zadośćuczynić morderstwom i innym straszliwym zbrodniom. Tutaj natomiast kara śmierci wydaje się jedynym rozwiązaniem - nawet jeśli oskarżony jest niewinny, nawet jeśli nie stanowi dla nikogo żadnego zagrożenia. Kara śmierci jest aniołem stróżem Pakistanu - mojego kraju, który nie tylko nie chce mnie na swoim terytorium, ale pragnie też, bym zniknęła z powierzchni ziemi... Ja, która byłam tak pełna wiary, ja, która czekałam z niecierpliwością na rozprawę, by wydostać się w końcu z tego miejsca, w którym z wolna konam!

Piętnaście dni temu spotkałam się z obrońcą w biurze dyrektora więzienia. Powiedział mi, że nazywa się Muhammad Amin Bokhari i że jest tutaj, by mi pomóc. Nasza rozmowa trwała ponad godzinę. Poprosił mnie, abym opowiedziała mu o wszystkim, co wydarzyło się podczas tych przeklętych zbiorów. Zapewnił mnie, że nie mam się czego obawiać i że to dla mnie jedyna okazja, by mnie wysłuchano i bym mogła zapewnić o swej niewinności. Był dla mnie miły, i sprawiał wrażenie, że jest po mojej stronie. Zaufałam mu i o wszystkim opowiedziałam. Nawet o tym, jak kilka dni przed zbiorami posprzeczałam się z sołtysiem - który jest zarazem najbogatszym człowiekiem w naszej wsi.

Miałam zaopiekować się jego bawołami. Dostawałam za tę pracę 100 rupii i wykonywałam ją od czasu do czasu dla niego lub dla innych zamożniejszych gospodarzy. Tym razem, zupełnie nie wiedząc czemu, jeden z bawołów postradał rozum. Na daremno z całych sił ciągnęłam za powróż - uparcie odmawiał posłuszeństwa i nie chciał iść wraz ze swoimi pięcioma towarzyszami. Zachowywał się jak oszalały. W końcu obiema rękami uczepliłam się konopnego sznura, ale i tak zdołał mi się wyrwać. Na nic zdały się moje wysiłki - nic nie mogłam już zrobić i ostatecznie musiałam go wypuścić. W dłoniach miałam pełno drzazg, a bawół, który już kompletnie stracił rozum, zaczął niszczyć drewniany żłób. Kiedy przyszedł mój pracodawca, od razu udało mu się go uspokoić - i zwierzę natychmiast ustawiło się w rzędzie z pozostałymi, jak gdyby nigdy nic. Sołtys nie był zadowolony. Powiedział mi, że jestem do niczego, podczas gdy ja naprawdę nic nie mogłam zrobić - bawół zupełnie oszalał i nie dało się nad nim zapanować.

- I co mu odpowiedziałaś? - spytał obrońca zza swoich małych okularów, które

opadały mu na czubek nosa.

- Nic. Po prostu powiedziałam, że nie zrobiłam tego specjalnie i przeprosiłam za wszystko.

Sołtys dał mi moje 100 rupii i mnie odprawił. Poszłam więc, ale byłam nieco zaniepokojona przygodą z bawołem, który połamał koryto.

- Nie wiem, czy to ma związek, proszę pana, ale kiedy pobili mnie ludzie ze wsi, to stało się to u niego, w jego ogrodzie.

- To wszystko, Asia? O niczym nie zapomniałaś?

- Nie, proszę pana, wszystko panu powiedziałam. Może mi pan wierzyć, nie zrobiłam tego, co mówią te kobiety. Zawsze szanowałam wiarę muzułmanów, nikogo nie obraziłam, nigdy nic podobnego mi się nie przytrafiło, a dużo przeżyłam...

Obrońca był bardzo poważny. Zapisywał wszystko w milczeniu w dużym zeszycie. Nasza rozmowa mnie wyczerpała, a fakt, że musiałam przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tej strasznej historii, zupełnie mnie wykończył. Gdybym mogła, wymazałabym ją z pamięci. A najchętniej cofnęłabym się w czasie i nigdy nie poszłabym na te zbiory Wstając z miejsca, obrońca rzekł:

- To dobrze, że o wszystkim mi powiedziałaś. Reszta jest w rękach Boga.

Siedzę na sznurowym łóżku, które wrzyna mi się w pośladki i zastanawiam się, jak Bóg mógł uznać, że jestem winna bluźnierstwa. Co to w ogóle za Bóg? Jak by go nie nazwać - Bogiem, Allahem, czy jakkolwiek inaczej - Bóg jest przecież dobry i nie skazuje niewinnych ludzi na śmierć. Pomyśleć, że marnieję tutaj od roku tylko po to, by w końcu zawiązali mi sznur wokół szyi... Wciąż słyszę w głowie słowa sędziego, mówiącego, że zdecydował o skazaniu mnie na śmierć po uprzednim dopilnowaniu, by zebrano wszystkie potrzebne dowody. Jakże dowody? Takie, że jakieś trzy kobiety mnie nie lubią, bo jestem chrześcijanką? Sędzia ośmielił się też dodać: „brak okoliczności łagodzących”. Nie jestem wykształcona, ale nie jestem też idiotką. Rozumiem, że to oznacza, że nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Usprawiedliwienia?! Powinnam się tłumaczyć z faktu, że żyję? A może z tego, że nie wyznaję tej samej wiary? Nie, nic a nic nie rozumiem wymiaru sprawiedliwości w moim kraju.

Nagle słyszę łomot w drzwi moje oraz moich sąsiadek. To znak, że czas na spacer. Ale ja nie mam ochoty wychodzić. Wolę zostać w mojej dziurze. Nie miałabym na tyle siły, by znosić podejrzliwe spojrzenia, uwagi. Po chwili wstrętny Khalil z hukiem otwiera drzwi do mojej celi.

- Słyszałem o twoim wyroku. To dobrze, że w końcu zapłacisz za potworności,

których się dopuściłaś! Tymczasem, zanim zawisniesz na stryczku, rusz się, bo pora na spacer.

Odpowiadam cichym głosem:

- Wolałabym zostać.

Khalil robi się czerwony ze złości i z całej siły kopie w moje łóżko, przewracając je wraz ze mną.

- Co? - wrzeszczy. - Nie pytam cię o zdanie. Rusz się, pasożycie!

Na podwórku jest nas około dwudziestu. Niebo poszarzało i zima opadnie wkrótce na ziemię niczym żelazna kurtyna. Mam dreszcze. Kobiety szepczą między sobą na stronie i spoglądają na mnie z niechęcią. Zdaję sobie sprawę, że wszystkie wiedzą o moim wyroku. Unikają mnie jak ognia, jeśli zaudat zbliżę się do którejś z grupki.

W pewnej chwili podchodzi do mnie kobieta, której tutaj wcześniej .

- Witaj, nazywam się Bougina. Właśnie tu trafiłam. A ty jak masz na imię?

- Asia. Ale na twoim miejscu nie rozmawiałabym ze mną. Możesz sobie narobić wrogów.

- Tak, a dlaczego? - pyta mnie kobieta. Ma w oczach ufność i dobroć.

Waham się, ale w końcu odpowiadam:

- Jestem chrześcijanką i dzisiaj rano skazano mnie na śmierć za .

- Naprawdę zbluźniłaś? - pyta Bougina, która najwyraźniej nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Nie, skąd! Ale tak stwierdziły kobiety, które nie chciały pić z tego samego kubka, co ja. Uznały go za nieczysty, tylko dlatego że jestem chrześcijanką.

- To przerażające! I za to skazali cię na śmierć?

Jak dobrze znaleźć w tym piekle kogoś, kto reaguje normalnie...

Rozbrzmiewa dzwonek.

- Koniec spaceru! - krzyczy strażnik.

Bougina uśmiecha się do mnie.

- Nie trać nadziei, Asia. Dopóki żyjesz, wszystko jest możliwe. Módl się, nie ustawaj w modlitwie.

Żegnaj się z nią dyskretnym gestem.

- Do zobaczenia.

Cieszę się, że znalazłam przyjaciółkę wśród więźniarek, ale nie mam pojęcia, ile czasu mi jeszcze pozostało... Bougina dodała mi nieco otuchy, rozmawiając ze mną, dzieląc się swoim ciepłem i współczuciem. Jednak, znalazłszy się na powrót w celi, znowu myślę o tym

smutnym losie. Tak bardzo chciałabym umieć pisać! Gdybym była wykształcona, mogłabym zostawić mężowi i dzieciom list.

Myślę o nich z czułością i postanawiam mimo wszystko ułożyć w głowie słowa listu. Jeśli będę się jutro widziała z adwokatem, choć ten ostatnio niezbyt często się tu pojawia, poproszę go, żeby go spisał i przekazał mojej rodzinie. To moja ostatnia wola przed śmiercią.

Mój drogi Ashiąu, najdroższe dzieci, musicie stawić czoło wielkiemu wyzwaniu. Dziś rano zostałam skazana na śmierć. Kiedy usłyszałam wyrok, oczywiście płakałam, choć tak naprawdę nie byłam zaskoczona. Nie liczyłam na łaskę ani na odwagę sędziów, którzy ulegli presji mułłów i fanatyków religijnych.

Odkąd ponownie trafiłam do celi i wiem, że umrę, wszystkie moje myśli kieruję do Ciebie, mój Ashiąu, i do Was, moje ukochane dzieci. Żałuję, że zostawiam Was samych w ten okrutny czas. Imranie, mój najstarszy synu, skończyłeś osiemnaście lat. Życzę Ci, byś znalazł sobie dobrą żonę, którą uczynisz szczęśliwą - tak jak Twój ojciec uczynił szczęśliwą mnie. Nasimo, masz dwadzieścia dwa lata i znalazłaś już męża i teściów, którzy tak dobrze Cię przyjęli. Podaruj swemu ojcu wnuki i wychowuj je w zgodzie z chrześcijańskimi ideałami, tak jak my staraliśmy się zawsze czynić. Słodka Isho, masz piętnaście lat i urodziłaś się niedorozwinięta. Zawsze uznawaliśmy Cię z tatą za prawdziwy dar od Boga, tak bardzo jesteś dobra i wspaniałomyślna. Nie musisz rozumieć, dlaczego Twojej mamy nie ma już przy Tobie. Wiedz, że jesteś zawsze obecna w moim sercu i masz w nim swoje własne, zarezerwowane wyłącznie dla Ciebie miejsce. Sidro, masz tylko trzynaście lat i wiem, że od czasu, kiedy trafiłam do więzienia, to Ty zajmujesz się domem i opiekujesz się swoją starszą siostrą Ishą, która stale potrzebuje pomocy i wsparcia. Wyrzucam sobie, że skazałam Cię na dorosłe życie w wieku, w którym powinnaś się jeszcze bawić lalkami. Moja mała Isham, masz dopiero dziewięć lat i dane Ci jest stracić mamę. Boże, ależ życie jest niesprawiedliwe! Jednak ponieważ będziesz dalej chodziła do szkoły, posiadasz oręż, który w przyszłości pozwoli Ci bronić się przed ludzką niegodziwością.

Moje dzieci, nie traćcie odwagi ani wiary w Jezusa. Nadejdą jeszcze dla Was piękniejsze dni, a kiedy ja znajdę się już na górze w objęciach Pana, nadal będę nad Wami czuwać. Lecz proszę was, na litość Boską, byście byli ostrożni, wszyscy pięcioro, i byście nie robili niczego, co mogłoby znieważać muzułmanów lub pogwałcić panujące w tym kraju zasady. Moje drogie córki, chciałabym, żebyście miały to szczęście i znalazły mężów tak dobrych jak Wasz ojciec.

Ashiąu, pokochałam Cię od pierwszego wejrzenia, a dwadzieścia dwa lata, które razem spędziliśmy, dały dowód mej miłości. Nigdy nie przestanę dziękować niebu za to, że

Cię spotkałam i za to, że miałam szansę wziąć ślub z miłości - a nie zaaranżowany przez rodzinę, zgodnie ze zwyczajem panującym w naszej prowincji. Pasowaliśmy do siebie, ale takie okazało się nasze przeznaczenie i nie możemy już nic zrobić... Niegodziwcy stanęli na naszej drodze - i oto zostałeś sam z owocami naszej miłości. Nie trać jednak odwagi i bądź zawsze dumny z naszej rodziny.

Moje dzieci, odkąd wsadzono mnie do więzienia, wysłuchałam opowieści innych kobiet, dla których życie również okazało się okrutne. Mogę Wam teraz powiedzieć, że mieliście szczęście poznać Waszą matkę i doświadczyliście wielkiej radości, żyjąc w miłości i w szacunku do pracy. Z Waszym ojcem nade wszystko pragnęliśmy szczęścia - naszego i Waszego - nawet jeśli życie nie zawsze było łatwe. Jesteśmy biednymi chrześcijanami, ale nasza rodzina to prawdziwy skarb. Tak bardzo bym chciała patrzeć, jak dorastacie i wychować Was na porządnych ludzi - choć wiem, że i tak na nich wyrosniecie!

Wiecie, dlaczego będę musiała umrzeć i mam nadzieję, że nie macie mi za złe, że tak prędko odchodzę - jestem niewinna i nie zrobiłam niczego, o co mnie oskarżają. Ashiau, dobrze wiesz, że nie jestem zdolna do przemocy i okrucieństwa. Czasem tylko bywam zbyt uparta.

Jeśli chodzi o zasądzenie wyroku - nie trwało to długo. Zostałam skazana na śmierć w ciągu kilku minut. Jeszcze nie wiem, kiedy mnie powieszą, ale bądźcie pewni, moi ukochani, że pójdę na stryczek z podniesioną głową i bez strachu, ponieważ będzie mi towarzyszył Jezus Chrystus i Święta Panienska, którzy przyjmą mnie w swe ramiona. Mój dobry mężu, wychowuj dalej nasze dzieci tak, jak robiłbyś to razem ze mną.

Ashiau, moje najukochańsze dzieci - opuszczam Was na zawsze, lecz będę Was kochać przez całą wieczność.

5

Chrześcijański minister

W mojej kulturze żona nie potrafi czytać. To mąż stanowi dla niej łącznik ze światem. Jednak mój dobry mąż Ashią wie o nim niewiele więcej ode mnie, bo i on nie nauczył się czytać.

Obydwoje nie byliśmy świadomi, co się działo poza naszą wsią. Nie przeszkadzało nam to jednak żyć szczęśliwie razem z naszymi dziećmi i w spokoju zajmować się pracą. Niekiedy wieczorami czas nam się dłużył, a ponieważ nie mieliśmy wielu przyjaciół - poza Józefiną i jej mężem Samsungiem - pewnego dnia podjęliśmy szaloną decyzję, że kupimy sobie telewizor w sklepiku Fahada. Fahad jest bardzo młody i niesłychanie obrotny. Prowadzi mały interes, sprzedając stare sprzęty z odzysku, które wynajduje na wielkich wysypiskach śmieci w Lahaur. Potrafi wszystko naprawić - motocykle, samochody, tranzystory, ale też kola od pługów.

Nie jesteśmy bogaci. Pieniądze, które przynosimy razem z Ashią do domu, pozwalają akurat zapewnić nam wikt, porządnie ubrać pięcioro naszych dzieci i przede wszystkim opłacić ich edukację. Szkoła państwowa w Ittan Wali nie jest zbyt droga dla tych, którzy posiadają ziemię, ale dla nas 3000 rupii miesięcznie to duża kwota. Jednak zawsze byliśmy z Ashią zgodni, że nie możemy ustawać w wysiłkach, by zapewnić naszym dzieciom wszelkie dostępne możliwości rozwoju. Zawsze sobie powtarzaliśmy, że jeśli nasz syn i cztery córki zdobędą wykształcenie, znajdą być może, kiedy dorosną, szanowaną pracę w mieście. Może nawet w biurze, kto wie? Kiedy miałam trzynaście lat i pracowałam jako pomoc domowa w Lahaur, pan Akbar i pani Chazia przyjmowali wielu gości w swoim wielkim domu. Zdarzało mi się więc obsługiwać różne kobiety, które opowiadały o swojej pracy. Nie rozumiałam zbyt wiele, ale to co mówiły, wydawało się istotne, bo pan Akbar sprawiał wrażenie wyraźnie zainteresowanego. Zdałam sobie wtedy sprawę, że dziewczęta nie muszą koniecznie ograniczać się do pracy w domu i że równie dobrze mogą mieć zajęcia, które interesuje mężczyzn w garniturach...

Z Ashią chcemy dla naszych dzieci jak najlepiej. Myślę, że i nasze córki mają szansę na lepsze życie, mimo że są chrześcijankami. W każdym razie nadal chcę w to wierzyć.

Aby kupić stary telewizor na straganie Fahada, wzięłam się za wiele drobnych zajęć. Doglądałam bawołów i kóz, żeby zarobić tych kilka rupii, których nam brakowało. Pamiętam, jak w końcu pojawił się w naszym domu ten dziwny, gadający sprzęt. Wciąż się z siebie

śmieję, kiedy przypominam sobie, ile czasu zajęło mi przyzwyczajenie się do niego. Przez długi czas dawałam mu się zaskakiwać. Miałam wrażenie, że oprócz nas są w pokoju jeszcze jacyś inni ludzie. Gdy zapadała noc, z przyjemnością włączaliśmy nasz telewizor. Lubiliśmy zwłaszcza indyjskie programy. Niezwykłe było oglądać w tym małym okienku dziewczyny ubrane w tuniki z mnóstwem cekinów, z odsłoniętymi ramionami, jakże piękne i jak ładnie umalowane... Mogłam w nieskończoność patrzeć, jak tańczą w rytm żywej muzyki. Widziałam, że Ashią był nieco zażenowany, patrząc na te roznegliżowane kobiety i udawał brak zainteresowania, lecz w rzeczywistości nie umknęła mu nawet sekunda przedstawienia. Pamiętam też film podzielony na kilka części. Uwielbialiśmy z Ashią i z dziećmi każdego wieczora po śpiewie muezzina poznawać nowe przygody Tary i jej czterech przyjaciółek*. Bohaterki wchodziły w burzliwe relacje ze swoimi teściowymi, przywiązany do tradycyjnych wartości. Bardzo nas to bawiło, a ponieważ mówiły w hindi, prawie wszystko rozumieliśmy. Urdu i hindi to bliskie sobie języki. Telewizja pokazywała nam, jak może wyglądać życie poza granicami Ittan Wali. Była jak nowy członek rodziny, który wiedział wiele rzeczy. To było nasze małe okienko na świat, choć niezbyt lubiłam, kiedy Ashią naciskał guzik, by zmienić kanał i indyjskie tancerki znikwały, a w ich miejsce pojawiały się lokalne wiadomości. Informacje często były smutne, a obrazy raczej bezbarwne w porównaniu z moimi tancerkami.

*Chodzi o serial „Tara”, niezwykle popularną indyjską operę mydlaną, opowiadającą o życiu kobiet w wielkim mieście (przyp. konsult.).

Dzisiaj wiem, że gdybym oglądała krajowe wiadomości, to dowiedziałabym się wcześniej, a nie dopiero podczas mszy, że rząd powołał chrześcijańskiego ministra odpowiedzialnego za ochronę praw mniejszości religijnych.

To było w kwietniu 2009 roku - podczas mojej ostatniej wielkanocnej mszy, na dwa miesiące przed przekłętym dniem. Jak każdego roku, całą rodziną zebraliśmy się w kościele Świętej Teresy w Śechupurze. Zawsze lubiłam tę majestatyczną świątynię. Pamiętam, jak pewnego dnia przyznałam proboszczowi z naszej parafii, że jego kościół bardzo mi się podoba. Wyjaśnił mi, że został wybudowany wiele lat temu, w 1906 roku, przez Belgów, kapucyńskich misjonarzy. Spytałam go:

- Co to znaczy „Belgowie”?

Uśmiechnął się i odparł, że to biali cudzoziemcy, którzy przybyli z kraju, znajdującego się tysiące kilometrów stąd, by postawić tutaj dom boży.

W kościele, nadal udekorowanym bożonarodzeniowymi girlandami, panowała świąteczna atmosfera. Było nas około setki i wszyscy radośnie śpiewaliśmy, świętując

zmarłychwstanie Chrystusa, który umarł na krzyżu, by uwolnić nas od grzechu. Pamiętam homilię wygłoszoną przez ojca Samsona Dilawara. Był szczególnie rozplómienny i prosił nas o modlitwę w intencji ministra Shahbaza Bhattiego, którego nazwisko usłyszałam wtedy po raz pierwszy

Wy tłumaczył nam, że to katolicki minister, który reprezentuje sześć milionów chrześcijan i trzy miliony hinduistów zamieszkujących Pakistan. Pomyślałam sobie wtedy, że wprawdzie nie ma nas zbyt wielu w porównaniu ze stu siedemdziesięcioma milionami muzułmanów, ale że to i tak coś. Ksiądz powiedział podczas homilii, że Shahbaz Bhatti zawsze w godny podziwu sposób walczył w naszym imieniu u przedstawicieli władz państwowych. Tłumaczył, że przykładą wielką wagę do wzajemnego szacunku i do dialogu między religiami i że osobiście odwiedza madrasy, które mają opinię radykalnych. Długo się za niego modliliśmy i śpiewaliśmy, by wspomóc go w walce - zwłaszcza w tej, którą prowadził na rzecz zreformowania prawa przeciw bluźniercom. Prawa, które według ojca Dilawara było niesprawiedliwe zarówno dla chrześcijan, jak i dla hinduistów czy muzułmanów, często bezpodstawnie oskarżanych. Słowa księdza przypomniały mi o pewnej historii, którą usłyszałam, kiedy ostatnim razem udałam się do rodziców, do mojej rodzinnej wsi, oddalonej o kilka kilometrów od Ittan Wali. Ludzie we wsi opowiadali, że pewien stary muzułmanin został skazany na piętnaście lat więzienia za wrzucenie Koranu do kosza na śmieci. Rzecz w tym, że ten człowiek był ślepy. Pomyślałam sobie, że to niesprawiedliwe, bo przecież nie mógł rozpoznać świętej Księgi. Nie zrobił tego specjalnie. Według mnie w jego przypadku nie mogło być mowy o bluźnierstwie.

Modliliśmy się więc za chrześcijańskiego ministra - katolika, tak jak ja. Nie byłabym sobie wówczas w stanie wyobrazić, że zaledwie kilka tygodni później padnę, tak jak ten niewidomy muzułmanin, ofiarą prawa przeciw bluźniercom. Ani, tym bardziej, że spotkam ministra Shahbaza Bhattiego, w którego intencji tak długo śpiewaliśmy w tę wielkanocną niedzielę.

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym go poznałam. A zresztą - jak mogłabym zapomnieć dzień, który nastąpił po skazaniu mnie na śmierć przez sąd w Nankana Sahib?

Płakałam całą noc, lecz o poranku nie miałam już więcej łez - straciłam nadzieję, wszystko było skończone. Po południu, kiedy usłyszałam szczęk klucza w olbrzymim metalowym zamku, zrozumiałam, że to ostatnie chwile mojego życia i że przyszli po mnie, by wykonać straszny wyrok wydany na mnie poprzedniego dnia.

Drzwi do celi nagle się otworzyły i ujrzałam groźną, wściekłą gębę Khalila.

- Ruszaj się, idziemy!

Idę korytarzem, który zazwyczaj prowadził mnie na spaceriak. W tej chwili przypomina on jednak jakiś upiorny korytarz śmierci - wydaje się jeszcze ciemniejszy i nędzniejszy. Jestem przywiązana łańcuchami do paska grubego, wstrętnego Khalila. Mam sparaliżowane nogi i brak mi sił - a ponieważ za nim nie nadążam, ciągnie mnie za sobą jak kozę, wyraźnie zadowolony z tego ostatniego upokorzenia. Nie mogę złapać oddechu. Patrzę na niego, jak ociera pot z czoła i myślę, że jest jak spocone zwierzę. Po chwili zabraniam sobie jednak myśleć o Khalilu w ostatnich minutach swojego życia.

Moje dzieci, za moment zakończę życie, ale będę nad Wami czuwać z góry, kiedy już znajdę się w ramionach Pana. Mój Boże, miej nade mną litość, okaż mi swe miłosierdzie.

Te słowa rozbrzmiewają mi w głowie niczym echo. Z całych sił staram się zachować przed oczami obraz dzieci i męża. Wyobrażam ich sobie na naszym małym podwórku, obok dymiącego garnka, w którym gotuje się woda na herbatę. Mają jasne oblicza i śmieją się w głos z radości. Isham, moja najmłodsza córeczka, która nie ma jeszcze 10 lat, nuci piosenkę, której nauczyła się rano w szkole. Pozostałe córki i Ashią słuchają jej z rozkoszą. Kiedy Isham kończy, wszyscy ją gorąco oklaskują. Ukołysana czułymi obrazami czuję, jak uśmiech rysuje się na mojej twarzy - gdy nagle ochrypli głos Khalila brutalnie ściąga mnie na ziemię:

- Jesteśmy na miejscu!

Znajdujemy się przed drzwiami. Khalil puka z delikatnością, o którą nigdy bym go nie podejrzewała i po chwili wchodzimy do biura. Widzę dwóch mężczyzn w garniturach, siedzących naprzeciwko siebie. Rozpoznaję dyrektora więzienia, którego widziałam w dniu mojego przybycia, już ponad rok temu. Drugiego mężczyzny nigdy wcześniej nie spotkałam. Ma na sobie ciemnoszary garnitur i bordowy

Chrześcijański minister krawat, nie jest więc adwokatem. Odkąd mnie tutaj zamknęto, nauczyłam się rozpoznawać adwokatów, którzy są zawsze ubrani tak samo - noszą czarny garnitur i czarny krawat. Kto to może być? Oprócz mojej rodziny i adwokata, nikt mnie do tej pory nie odwiedzał. Nieznajomy wstaje i idzie w moim kierunku (oraz Khałila - cały czas jesteśmy do siebie przykuci łańcuchami).

- Dzień dobry, Asia. Nazywam się Shahbaz Bhatti i jestem ministrem do spraw mniejszości. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Po chwili minister prosi strażnika, by odpiął mnie od łańcucha i proponuje, bym usiadła na krześle. Dyrektor wychodzi i zabiera ze sobą Khalila, a ja przypominam sobie słowa księdza: „Pomódlmy się za tego człowieka, by dać mu siłę do walki, którą toczy w słusznej sprawie”. Nie mogę uwierzyć, że właśnie siedzę naprzeciwko niego. Sprawia wrażenie miłego i wygląda na to, że dobrze mu się powodzi: ma okrągłe policzki,

przystrzyżone wąsy i zadziwiająca fryzurę - burzę niezwykle starannie ufryzowanych czarnych włosów i lśniąca niczym chustki z drogiego jedwabiu. Po raz pierwszy widzę coś takiego na włosach...

- Jak się czujesz? - z największą uprzejmością pyta mnie minister.

Wyjąkuję:

- Nie najlepiej, jak się pan zapewne domyśla. Jestem niewinna, a wczoraj skazano mnie na śmierć przez powieszenie.

- Tak, wiem. Właśnie dlatego tutaj jestem. Rozmawiałem z twoim adwokatem i odwoła się od wyroku. To znaczy, że zostaniesz ponownie osądzona, ale tym razem przez Sąd Najwyższy w Lahaur. Tam nie będzie już mowy o presji ze strony tłumu i mułłów. Wierz mi, możesz zaufać wymiarowi sprawiedliwości. Uwolnię cię, jestem o tym przekonany.

Mimo jego pocieszających słów myślę o mojej rodzinie - tak bardzo się boję, że stanie im się coś złego. Minister, który zauważył moje zmartwienie, lekko kiwa głową, dając mi znak, że mogę mówić.

- Bardzo się boję o rodzinę. Oni również są w niebezpieczeństwie. Już dawno opuścili wioskę, a odkąd zostałam aresztowana, mój mąż nie może pracować. Ukrywają się u krewnych w Dinga, ale mąż powiedział mi, że wkrótce będą zmuszeni stamtąd wyjechać, bo i tam nie są już bezpieczni. Grożono im.

Minister patrzy mi prosto w oczy, po czym odzywa się, łapiąc muchę:

- Nie martw się. Postanowiłem zaopiekować się twoimi bliskimi. Spędzą jakiś czas u mnie, w Islamabadzie, w oczekiwaniu aż znajdę zaufanych ludzi w Lahaur. W ten sposób łatwiej im będzie cię odwiedzać.

Odejmuje mi mowę w obecności ministra, który przyjechał z Islamabadu specjalnie po to, by się ze mną spotkać - ze mną, prostą dziewczyną z gospodarstwa, która nigdy nie poszła do szkoły

- Potrzebujesz czegoś konkretnego? - pyta mnie minister, wstając z miejsca.

Nie mam śmiałości przyznać, że brakuje mi czystych i suchych ubrań. To nie jest coś, o czym można powiedzieć ministrowi, nawet jeśli faktycznie ich potrzebuję. Kiedy na zewnątrz pada, pada również w mojej celi. Taplam się w błocie, moja kołdra i ubranie są całe mokre. Nocą jest mi zimno, ale strażnicy nie chcą naprawić nieszczelności, najwidoczniej bawi ich widok wody kapiącej do wnętrza mojej celi. Tymczasem dyrektor i Khalil wracają do biura.

Shahbaz Bhatti kładzie delikatnie rękę na mojej głowie i mówi mi, bym nie traciła nadziei. Dodaje, że wkrótce poprosi prezydenta Pakistanu o udzielenie mi łaski - tak, bym

została natychmiast uwolniona, nie musząc czekać na wyrok sądu apelacyjnego. Jeszcze raz mu dziękuję i zapewniam, że będę się za niego modliła.

Kiedy wracam do celi, znowu przykuta łańcuchem do Khalila, ten powstrzymuje się od jakiegokolwiek komentarza. Wydaje się zły, że ktoś tak ważny złożył mi wizytę wspólnie z dyrektorem więzienia.

W celi udaje mi się w końcu odzyskać spokój. Dziękuję Bogu i Dziewicy Maryi za ich dobroć i wspaniałomyślność. Myślę o tym, co powiedział minister. Wszystko stało się tak szybko! Bhatti wniósł ciepło do mojego zmarzniętego serca. Od tej chwili wiem, że moja rodzina znajduje się w dobrych rękach. Czuję się dużo lepiej, odkąd się pożegnaliśmy. Jestem wręcz wesoła - do tego stopnia, że mam ochotę kręcić się po celi wraz z wielką, czarną muchą, która również wygląda, jakby świętowała.

Wielokrotnie powtarzam: „łaska prezydencka” - żeby nie zapomnieć słów, które usłyszałam dziś po raz pierwszy. Te dwa słowa mogą mnie uratować i przywrócić do dawnego życia. Moje przeznaczenie znajdzie się więc teraz w dłoniach prezydenta Pakistanu, Asifa Alego Zardariego*. Wiem, jak się nazywa, bo jest naszym prezydentem, ale nie mam o nim szczególnej opinii. Nie jestem wykształcona i nie znam się na polityce. Wszystko, co o nim wiem, wpadło mi do ucha tu lub tam, kiedy słyszałam ojca albo wujka, jak rozmawiali o nim, widząc go na ulotkach lub afiszach. Kobiety takie jak ja nie zadają pytań i nie biorą udziału w tego rodzaju dyskusjach. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jaka to szkoda, że mężczyźni uważają, iż kobiety nie są w stanie zrozumieć tych spraw. A jednak obowiązują nas te same prawa. Nie wiem więc prawie nic o tym ważnym człowieku, od którego zależy teraz moje życie. Nie wiem, czy to, co mówił o nim mój ojciec, jest prawdą. Wolę za wiele o tym nie myśleć i mieć nadzieję, że udzieli mi łaski, bo się nade mną zlituje.

*Asif Ali Zardari (ur. 1955) - urzędujący od 2008 roku prezydent Pakistanu, a także, od 2007 roku, współprzewodniczący Pakistańskiej Partii Ludowej. Jest wdowcem po byłej premier Pakistanu Benazir Bhutto (1953-2007) (przyp. tłum.).

Jak tylko zapada wieczór, natychmiast zasypiam. Ostatnie dwa dni mnie wyczerpały. Głowa mi pęka. Na szczęście tej nocy nie pada i mam szansę przespać ją do rana, nie budząc się od cieknącej wody, która zamienia moją nędzną celę w błotniste pole. Po przebudzeniu myślę o dobrych nowinach, które przyniósł mi poprzedni dzień - o ministrze i jego wspaniałomyślności i o łasce prezydenckiej.

Nadchodzi pora picia herbaty. Słyszę, jak wózek toczy się po posadce korytarza, a drzwi pozostałych cel otwierają się i zamykają raz za razem - poza moimi jest ich około dwudziestu. Przyzwyczyłam się już do tych odgłosów, to moje naturalne środowisko od

siedemnastu miesięcy - jak policzył minister Bhatti.

Cichym głosem powtarzam dwa słowa: „łaska prezydencka”.

Chcę w nią wierzyć - i wierzę.

Wesołych Świąt

Tego ranka doznaję wrażenia, jakby ktoś postawił mi na dłoni filiżankę z wrzącą herbatą, a mnie chciało się kichać. Jest 24 grudnia, a ja nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić. W moim 'języku na Boże Narodzenie mówimy vada diii, co znaczy „wielki dzień”. Jednak kiedy rozglądam się wokół i widzę pełną ekskrementów celę (Zenobii nie było już całą wieczność), trudno mi przyznać, że dzisiaj jest „wielki dzień”. Obiegając celę wzrokiem, widzę same okropieństwa i czuję straszny smród. Nie mogę stąd wyjść, a mam ochotę skruszyć ściany, wszystko zniszczyć, by tylko móc zaczerpnąć świeżego powietrza. Będę musiała spędzić Święta sama, zupełnie sama.

O, mój wybawco, wyswobodź mnie z niewoli. Dodaj mi sił, bym wytrzymała ten dzień, który powinien być tak piękny. Daj mi siłę, bym zniosła bycie z dala od rodziny i z dala od domu bożego, w którym tak bardzo chciałabym się znaleźć z bliskimi, by świętować narodziny Jezusa, Twojego syna. Błagam Cię, Panie, miej nade mną litość i daj mi siłę, bym przetrwała ten koszmar.

Chciałabym mieć choć krzyżyk lub różaniec, by móc świętować narodziny Jezusa. Czuję się naga, odarta z tego, co do mnie należało.

Panie, przez cały dzień będę się do Ciebie modliła ze wszystkich sił, mając nadzieję, że mnie wysłuchasz, że usłyszysz mój głos nawet z głębi celi - bo chciałabym, jak wszyscy chrześcijanie na świecie, móc świętować narodziny Chrystusa.

Rozciągnięta na swoim ćarpai, z szeroko otwartymi oczami przyglądam się pęknięciom na suficie. Kładę rękę na piersi, płaskiej jak deska. Brzuch mi się zapadł, uda wychudły, a ramiona niemal zupełnie zniknęły. Patrząc na moje dłonie, można by dojść do wniosku, że już nie żyję. Chce mi się płakać, ale nie znajduję już łez. Mam ochotę wrzeszczeć, lecz czuję, że straciłam głos. Słabiutkiego oddechu starcza mi na tyle, bym nie umarła. Mam ochotę rwać sobie włosy z głowy, ale za bardzo mi ich szkoda. Nauczyłam się tutaj zdychać, pozostając przy życiu.

Wielka, czarna mucha siada mi na palcach u stóp. Łaskocze mnie i prowokuje do śmiechu. Nagle dochodzę do siebie. Nie pozwolę sobie umrzeć w dniu narodzin Chrystusa! Wprawdzie wszystko straciłam, ale nadal mam przecież swoje wspomnienia. Ja również będę świętowała Boże Narodzenie - na nowo przeżywając zeszłoroczne Święta. Kiedyś byłam taka wolna i szczęśliwa...

Tak, ostatnie Święta, które spędziłam na wolności, na zawsze zapisały się w mojej

pamięci. Nikt nie zdoła mi ich odebrać.

Dla nas, chrześcijan, Boże Narodzenie to najradośniejszy dzień w roku, błogosławiona okazja, by okazać wdzięczność za miłość, którą obdarza nas Bóg Ojciec i Jego Syn Jezus Chrystus. Ani w Ittan Wali, ani w najbliższej okolicy nie ma kościoła. Musimy więc, razem z Józefiną, jej mężem i dziećmi, wsiąść do minibusa, który zawiezie nas do kościoła Świętej Teresy w Śechupurze. Dotarcie na miejsce zajmuje nam około dwóch godzin - to dla nas mała podróż, bo rzadko mamy okazję i środki, by opuszczać wieś. Zakładamy najpiękniejsze ubrania i jesteśmy dumni, że możemy uczcić naszą wiarę w kościele.

Mam na sobie tradycyjny strój pakistański, salwar kamiz, czyli tunikę z długimi rękawami, założoną na szerokie spodnie. W tym roku pracowałam przy wielu zbiorach i częściej pilnowałam zwierząt, żeby zarobić więcej pieniędzy i móc kupić sobie nowy strój, specjalnie na Boże Narodzenie. W jedynym sklepie we wsi nie było specjalnego wyboru, ale ta białozielona tunika natychmiast przypadła mi do gustu. Przypadkiem są to również kolory pakistańskiej flagi: zielony to kolor islamu, a biały - mniejszości religijnych, na przykład chrześcijan. Moja długa do kolan tunika jest w ładnym, szmaragdowym odcieniu zieleni, uszyta z ciepłej i grubej tkaniny. Białe spodnie, bufiaste na udach, zwężają się na kostkach tak jak lubię, nie za mocno, i nie za słabo. Moja dupatta, długa chusta, też jest w białym kolorze. W sklepiku nie było wprawdzie lustra, ale wiedziałam, że ładnie mi w tym stroju. Spędzając większość czasu na polu, nie miałam w zwyczaju nosić tak pięknych ubrań.

Wszystkim czterem córkom uszyłam nowe tuniki, każdą w innym kolorze: czerwoną i żółtą oraz niebieską i pomarańczową dla starszych dziewczynek. Kiedy wyszliśmy z domu, musieliśmy iść zygzakiem wśród dzieciaków, grających w krykieta przy użyciu grubego kija i starych pomarańczy. Trzeba było uważać, żeby nie dostać pociskiem! Jeden z łobuziaków krzyknął:

- Spójrzcie na nie! Wyglądają jak tęcza!

Rozśmieszyło nas to. Z kolei Ashią i nasz osiemnastoletni syn mieli na sobie beżowe salwar kamiz, które wyprałam i wyprasowałam dzień wcześniej. Opatulili się w szare nakrycia i mieli na sobie kryte buty ze sztucznej skóry. O tej porze roku było bardzo zimno, zaledwie kilka stopni powyżej zera, choć i tak wolałyśmy z córkami kokietować kolorowymi strojami. Poza tym ciepło naszych serc wystarczało nam, by się ogrzać... Założyłyśmy jednak skarpetki, na które dopiero wsunęłyśmy sandały. Bardzo uważałyśmy, by się nie ubrudzić. Droga prowadząca do autobusu jest pylista i pełna kamieni.

Podwórko, na którym znajduje się dworzec autobusów, pęka w szwach od pojazdów i oczekujących podróżnych. Jak zawsze, i tym razem autobusy do Śechupury odjeżdżają co

godzinę. Płacimy za nasze miejsca po 30 rupii od osoby, po czym upychamy się wszyscy, razem z rodziną Józefiny, z tyłu minibusu. Jestem przyklejona do szyby z lewej strony, bo Ashią zupełnie mnie przygniata, ale wszystkich nas to bawi. Jest piąta po południu. Temperatura wynosi około zera i panuje taka mgła, że z trudem można przez nią dojrzeć własne stopy. Minibus szybko pokonuje kolejne kilometry, choć droga, którą jedziemy, jest w fatalnym stanie. Mijamy kilka wypadków z udziałem ciężarówek, samochodów osobowych, a nawet autokarów jak nasz! Chwytam Ashią za rękę. Jestem niespokojna, bo kierowca pędzi mimo gęstej mgły, jednak Ashią reaguje na to szerokim uśmiechem:

- Podziękuj Bogu, że posadził nas z tyłu. W razie wypadku zamortyzują nas ludzie przed nami.

W połowie drogi autokar staje na poboczu. Większość podróżnych opuszcza pojazd, by zniknąć w meczecie, ledwo dostrzegalnym we mgle. Jest jeszcze zimniej niż przed chwilą. Czekając, aż muzułmanie skończą się modlić, oglądam z dziećmi światła innych samochodów, przefiltrowane przez gęstą mgłę. Podskakujemy i rozprostowujemy zdrętwiałe nogi, a dzieci bawią się i dokazują. Po skończonej modlitwie nasz busik rusza w dalszą drogę. Nadal panuje gęsta mgła, ale my szybko pokonujemy kolejne kilometry. Spostrzegam leżącą na boku, przewróconą cysternę. Znowu spoglądam na Ashią, jednak jego wcale to nie niepokoi.

Dzięki Bogu, w końcu docieramy do Śechupury. W mieście roi się od ludzi - to prawdziwa odmiana po naszej małej wiosce. Dzieci są bardzo podekscytowane, ale muszą uzbroić się w cierpliwość, bo utknęliśmy w ogromnym korku, który zablokował ulice wokół targu. Wszystko stoi: ciężarówki, autobusy, samochody, riksze, motocykle, dwukołowe wózki, rowery, konie, osły, a nawet piesi - unieruchomieni w rozgardiaszu opon, kół, sandałów i kopyt.

- Co za widok! - mówię, odwracając się do Józefiny.

W końcu jednak autobus rusza z miejsca - w samą porę, bo msza nie będzie przecież na nas czekać.

Kiedy wychodzę z pojazdu, zaczepia mnie jakiś mężczyzna - a raczej kobieta. To khusra*. Nie pierwszy raz ją widzę - wielokrotnie spotykałam je w Lahaur. Ta jest wyjątkowo piękna i bardzo „udana”. Nie zawsze tak jest - po niektórych mężczyznach przebranych za kobiety od razu to widać. Wręczam jej 50-rupiowy banknot, a khusra w podziękowaniu wypowiada krótkie błogosławieństwo w języku, którego nie rozumiem. Po chwili dopada mnie Józefina i pyta ukradkiem:

- Co to było?

*Khusra (w języku pendżabskim), hidźra (m.in. w hindi oraz w urdu) - określenie przedstawicieli tzw. trzeciej płci na subkontynencie indyjskim. Hidźry są osobnikami urodzonymi jako mężczyźni, którzy jednak żyją jako kobiety i najczęściej mówią o sobie w rodzaju żeńskim. Hidźrami zostają najczęściej osoby transseksualne lub interseksualne, bądź z jakiegoś powodu wykastrowane (przyp. tłum.).

Śmieję się w głos, bo Józefina, sądząc po jej zdumionej minie, rzeczywiście nigdy wcześniej nie widziała khusry.

- Nazywa się ich tutaj trzecią płcią. Khusry są bardzo dobrze zintegrowane ze społeczeństwem i cieszą się nawet większą wolnością niż kobiety. Zaprasza się je na różne święta. Pan Akbar, u którego pracowałam w Lahaur, kiedy byłam w wieku twojej córki, często je u siebie przyjmował - stąd całkiem nieźle je znam. Wieczorami przychodziło ich po pięć lub sześć, a mężczyźni mogli z nimi tańczyć, ponieważ islam zabrania kontaktów między kobietami i mężczyznami. A w ten sposób wszyscy są zadowoleni, bo mężczyźni mogą tańczyć z mężczyzną, który przypomina kobietę. To dlatego się ich akceptuje. Ale khusry są biedne i żyją z żebractwa. Zauważ, każdy im coś daje. Podobno to przynosi szczęście.

Józefina nie może w to uwierzyć. Jestem bardzo dumna, że choć raz mogłam komuś wytłumaczyć coś, na czym sama lepiej się znam. Tymczasem nasze dzieci i mężowie stoją już u wejścia do kościoła - biegniemy, by do nich dołączyć.

Msza trwała co najmniej trzy godziny. Śpiewaliśmy i modliliśmy się z wielkim zapalem, przepelnieni wewnętrzną radością. Kiedy wychodziliśmy, ujrzeliśmy kolorowe, elektryczne girlandy, które ozdabiały budynki naprzeciwko kościoła. Prezentowały się doprawdy przepiękne i dzieci były nimi zachwycone. Boże Narodzenie to święto świateł, więc wszędzie na małym placu, bezpośrednio na ziemi, porozpalano ogniska. Chrześcijańskie rodziny zgromadziły się wokół ognisk, by modlić się i śpiewać o narodzinach Jezusa. Podczas gdy dzieci bawiły się i podskakiwały wokół, my rozdawaliśmy łakocie ustawione na drewnianych stojakach, zainstalowanych specjalnie na tę okazję. Najważniejszą rzeczą, którą na nich kładziemy, jest bożonarodzeniowe ciasto. Każda rodzina przynosi swój własny wypiek, przygotowany dzień wcześniej w domu. Jak co roku, ja upiekłam nasze ciasto razem z Józefiną. Zabrałyśmy się do pracy z samego rana i, jak zawsze, posprzeczałyśmy się co do ilości poszczególnych składników, jednak na szczęście doszłyśmy w końcu do porozumienia. Pod koniec dnia świetnie się bawiłyśmy i było z tego mnóstwo śmiechu. Nasze ciasto jest ogromne, ale to jedyne, co możemy zrobić, by przywitać Jezusa, który właśnie się narodził. Przed pokrojeniem ciasta wołam dzieci, żeby rozświetliły szopki blaskiem małych świeczek oraz złożyły dary u stóp figury Jezusa. Tradycyjnie pod figurą Jezuska zostawia się również

banknoty, by wspomóc księdza z parafii, który żyje wyłącznie z datków swoich wiernych. Dzieci tłoczą się i oblizują wargi na myśl o bożonarodzeniowym cieście, śmietankowym i słodkim.

Ze wspomnień wyrywa mnie mój żołądek, który wydaje dziwny dźwięk. Na wspomnienie bożonarodzeniowego ciasta robi mi się nieskończenie smutno. Wiem, że więzienie znajduje się niedaleko kościoła Świętej Teresy - mogłabym tam pójść nawet na piechotę.

Słyszę lekkie chrobotanie klucza w zamku. Może to Zenobia... Tak, to ona!

- Nie wiedziałam, że dzisiaj będziesz. Co za niespodzianka!

- Nie chciałam zostawiać cię samej. Jeśli jest taki dzień, w którym należy okazać miłosierdzie, to z pewnością jest to Boże Narodzenie. Postarałam się więc przyjść dziś do pracy.

Kiedy dziękuję Zenobii, spostrzegam, że zabiera się za czyszczenie mojej celi.

- Co robisz? Nie ty powinnaś się tym zajmować.

- Nie mogę cię dzisiaj zostawić samej z tym wszystkim - odpowiada, wrzucając moje ekskrementy do plastikowej torby.

Zenobia przyniosła ze sobą perfumowany środek dezynfekujący. Już zapomniałam o istnieniu zapachu róż...

- To takie miłe z twojej strony, wszystko, co dla mnie robisz. Ale to ładnie pachnie...

Poczekaj, pomogę ci.

- Nie, nie ruszaj się. Jesteś bardzo słaba, musisz unikać wysiłku. Odpocznij.

Kiedy Zenobia kończy myć naczynia, wręcza mi drobny pakunek, zawinięty w folię aluminiową. Otwieram go z niecierpliwością małego dziecka.

- To twój kawałek bożonarodzeniowego ciasta - mówi Zenobia. - Wesółych Świąt, Asia!

Mam łzy w oczach.

- Dziękuję! Dziękuję! Nawet nie wiesz, jaką radość mi sprawiłaś...

- Ależ, to nic wielkiego. Święta bez bożonarodzeniowego ciasta nie byłyby prawdziwymi Świętami. To że tutaj jesteś, nie oznacza, że nie masz prawa do swojego kawałka!

Jestem niezwykle wzruszona tak czułym potraktowaniem...

- Nie ma dzisiaj wizyt, więc Ashią zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, bym ci przekazała, że będą z dziećmi o tobie myśleć jeszcze więcej niż zwykle i że, chociaż nie możecie spędzić Świąt razem, i tak są z tobą myślami. Dobra, muszę uciekać. Trochę się

zasiedziałam, a nie chcę, żebyśmy sobie narobiły kłopotów. Jeszcze raz, wesołych Świąt! Będę się za ciebie modlić w kościele.

Znowu sama w mojej celi - choć tym razem wśród zapachu róż - zdaję sobie po chwili sprawę, że wizyta Zenobii sprawiła mi tyleż przyjemności, co bólu. Odrobina radości w moim więziennym życiu przypomniła mi o moim smutnym losie. Do tej chwili wydawało mi się to niemal niemożliwe, ale teraz nie mam już wątpliwości - dzisiaj naprawdę jest Boże Narodzenie. Kawalek ciasta, który podarowała mi Zenobia, jest na to dowodem.

Ashią pozostawił mi wspianiałą wiadomość... Tak za nimi tęsknię - za nim i za dziećmi!

Kiedy spotkałam Ashią po raz pierwszy, od razu mi się spodobał. I vice versa. Często przychodził do mojej wsi, sąsiadującej z Ittan Wali, bo jego wujek, ciotka i kuzyni mieszkali zaraz koło domu moich rodziców. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie, podczas którego było mi tak strasznie głupio! Byłam w toalecie, którą ojciec postawił w ciasnym rogu naszego podwórka. Dziura w ziemi, trochę słomy i stara, czarna paszmina*, której nie potrzebowała już moja matka - i gotowe! Intymność zapewniona, albo prawie... Zdarzało się, że mali chłopcy albo moi bracia przychodzili i krążyli wokół jak sępy, a ja słyszałam tylko ich głupie chichoty. Aby bronić mojej fortecy, rzucałam w nich kamykami ponad ogrodzeniem z paszminy. W ten sposób dawałam odpór ich złośliwym atakom, a napastnicy często kapitulowali zanim zdążyła mi się wyczerpać amunicja. W naszych toaletach zawsze znajduje się spory zapas wygładzonych kamieni. To wiejski zwyczaj, ale właśnie za ich pomocą się podcieramy. Mają tę zaletę, że można ich używać wielokrotnie, a w razie ataku, na pewno przydają się bardziej niż papier! Byłam więc w toalecie, kiedy zdało mi się, że słyszę drwiące śmiechy. Niewiele myśląc, zaczęłam się bronić, rzucając, jak za każdym razem, kamieniami ponad zasłonką. Wówczas usłyszałam męski głos:

- Ałć! Co się tutaj dzieje?

*Paszmina - rodzaj delikatnej, kaszmirowej wełny, a także określenie otrzymywanych z niej tkanin (przyp. tłum.).

Wyszłam z toalety, zastanawiając się, kogóż to mogłam ostrzelać - i wpadłam na Ashiqa. Zrobiłam się cała czerwona ze wstydu.

- Och, przepraszam. Proszę mi wybaczyć, myślałam, że to tutejsze łobuzy Przykro mi, jeśli dostał pan kamieniem.

- Po raz pierwszy zostałem zaatakowany w podobny sposób - odpowiedział, rzucając mi kpiące spojrzenie.

Długo się z tego śmialiśmy - i tak już nam zresztą zostało - po dwudziestu dwóch

latach małżeństwa nadal bardzo często wspólnie śmiejemy się z różnych rzeczy.

W ciągu kolejnych tygodni wpadaliśmy na siebie od czasu do czasu, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. W mojej kulturze mężczyźni i kobiety nie odzywają się do siebie, jeśli nie są małżeństwem. Pewnego dnia Ashią przyszedł do moich rodziców w mundurze. Byłam nim oczarowana, bardzo mi się podobał. Ze szczególną uwagą słuchałam, jak tłumaczył ojcu, że jest żołnierzem w siłach powietrznych. Kiedy znajdowaliśmy się w jednym pomieszczeniu, wymienialiśmy porozumiewawcze spojrzenia, pod warunkiem, że nikt nas nie widział. Pewnego dnia zostałam sama w domu, bo nie miałam ochoty iść z całą rodziną na herbatę do sąsiadów, mieszkających niedaleko rzeki. Kiedy wszyscy wyszli, do drzwi zapukał Ashią. Spytał, czy może się przebrać, zanim dołączy do pozostałych. Zgodziłam się, jednak poprosiłam go, by pozwolił mi w zamian przymierzyć swój mundur. Zaskoczyło go to i rozbawiło, ale się zgodził. Po raz pierwszy miał okazję zobaczyć kobietę ubraną w mundur wojskowy - i uznał, że bardzo mi w nim do twarzy, a nawet zrobił mi zdjęcie. Założenie czyjegoś ubrania jest u nas rodzajem miłosnego wyznania - to sposób, by dać komuś do zrozumienia, że nie jest nam obojętny. Ashią zrozumiał to przesłanie i również nie pozostał obojętny, wyczułam to. Kiedy poprosiłam go, by pomógł mi rozpiąć guziki drelichowej marynarki, znaleźliśmy się bardzo blisko siebie. Po raz pierwszy byliśmy tak blisko. Nie dotknęliśmy się, oczywiście, ale i tak byłam cała czerwona, a on też sprawiał wrażenie zawstydzonego.

Pewnego dnia ojciec oznajmił mi:

- Asia, masz dwadzieścia lat. Czas wyjść za mąż.

Wpadłam w panikę. Wedle tradycji dziewczyna nie wybiera sobie męża, ale ja przecież znalazłam już swój ideał - miał na imię Ashią. Tata kontynuował, podczas gdy ja byłam już cała w gorączce.

- Wiesz, kim jest Ashią, ten żołnierz?

- Tak - odparłam cichuteńkim głosem.

- To z nim weźmiesz ślub. Ceremonia odbędzie się za miesiąc.

Oczywiście, za żadne skarby nie chciałam dać ojcu do zrozumienia, jak bardzo się cieszę - mógłby jeszcze zmienić zdanie. Przyjęłam więc obojętną postawę i powiedziałam po prostu:

- Dobrze, tato. Jak sobie życzysz.

Kiedy znowu zobaczyłam Ashią - a było to dopiero w dniu ślubu - wyczytałam w jego oczach, że i on jest szczęśliwy, że się ze mną żeni.

To był ładny ślub. Miałam na sobie piękną, białą suknię i śliczne, wielokolorowe

bransoletki ze szklanych koralików. Po ceremonii, w kościele, wzięłam na stronę moją starszą siostrę, która była już mężatką.

- Likhana, musisz mi opowiedzieć o swojej nocy poślubnej, bo ja zupełnie nie wiem, co mam robić.

- Jesteś pewna, że chcesz, żebym ci opowiedziała o naszej pierwszej nocy? Bo, szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy to ci wiele pomoże...

- Proszę cię, Likhana, nie wiem zupełnie nic o tym, co się wydarzy ani o tym, co powinnam robić. Z pewnością mi pomożesz!

- Dobrze, zgoda - odpowiedziała rozbawionym tonem.

- Ale, jak sama wiesz, wyszłam za mąż, kiedy miałam szesnaście lat. Byłam więc dużo młodsza od ciebie - i jeszcze mniej wiedziałam o obowiązku małżeńskim. Kiedy kładłam się spać wieczorem po ślubie, byłam zaskoczona, że dano mi osobny pokój i łóżko. Pamiętam, że usnęłam na pleciance, kiedy poczułam nagle jakieś cielsko obok mnie. To był Ishaq, mój mąż, zupełnie nagi. Przeraziłam się i wybiegłam na zewnątrz. Całą noc spędziłam schowana w stodole!

Likhana zaczęła się śmiać jak szalona na to wspomnienie. Po chwili mówiła dalej:

- Następnego dnia rano teściowa wytłumaczyła mi, że powinnam ulec i wszystko byłoby dobrze. Oto, jak wyglądała moja noc poślubna!

- Jak to? To wszystko? Likhana, nie możesz mnie tak zostawić!

Likhana wymknęła się, aby dołączyć do zabawy, a ja musiałam dać za wygraną, wiedząc jeszcze mniej o tym, co się nieuchronnie wydarzy. Natychmiast poczułam, jak wzmagają we mnie strach. Gdy nadszedł wieczór i znaleźliśmy się z Ashią w domu jego rodziców, jego matka zwróciła się do nas:

- Tej nocy, moje dzieci, będziecie spać w naszej sypialni.

Do tej pory ani razu się nie dotknęliśmy, ale obydwójce darzyliśmy się uczuciem.

Nigdy nie zapomnę tamtej chwili.

Położyłam się na łóżku w ubraniu i ujrzałam, że Ashią robi to samo. Leżeliśmy tuż obok siebie, nie mając odwagi się poruszyć. Obydwójce wpatrywaliśmy się w sufit, nie mogąc spojrzeć sobie w oczy. Po chwili poczułam, jak Ashią muska moją dłoń. Przez moment w nieśmiały, niezręczny sposób pieścił jej wewnętrzną stronę. Odwróciłam do niego głowę i zanurzyłam się w jego spojrzeniu. Zebrałam się na odwagę i złożyłam bardzo delikatny pocałunek w kącik jego ust. Wtedy Ashią ostrożnie się nade mną usadowił i zapytał:

- Boisz się?

Przybrał najdelikatniejszy ton głosu.

- Nie. A w zasadzie tak, troszkę. Ale ufam ci i wiem, że nie zrobisz mi krzywdy.

Wówczas Ashią wziął mnie z całej siły w ramiona i po raz pierwszy naprawdę się pocałowaliśmy. Pocałunek był słodki i gorący, czułam się wspaniale. Po chwili wpadliśmy w wir rozkoszy, a kiedy doszłam z powrotem do siebie - obydwójce leżeliśmy złani potem, nieprzytomni ze szczęścia. Dostrzegłam małą plamkę krwi na prześcieradle. Zrozumiałam, że nie byłam już dziewicą jak Maryja. Ale czułam się szczęśliwa. Pomyślałam o Likhaniu i ostatecznie byłam jej wdzięczna za to, że nie powiedziała mi więcej o swojej nocy poślubnej.

Natychmiast zasnęliśmy w swych ramionach - z wyrazem spokoju na twarzy i z błogością w sercu.

Papieskie przesłanie

Budzi mnie przeraźliwy krzyk. Czuję, jak paraliżuje mnie strach.

Ze zdrętwiałą twarzą i walącym sercem staram się zlokalizować to straszne wycie, ale jest środek nocy i nie widzę nic prócz panującego w celi mroku. Wytężam słuch, lecz do mych uszu dobiega tylko cichy hałas nocy. Po chwili znowu rozbrzmiewa zwierzęcy krzyk, po którym następuje seria przedłużonych wyć. Przeszywa mnie dreszcz, kiedy zdaję sobie sprawę, że te niekończące się jęki dochodzą z sąsiedniej celi. To moja sąsiadka Zarmina tak wrzeszczy. Jej wołania zasiewają panikę w mojej głowie. Krzyki odbijają się od ścian i zdaje mi się, że zaraz wypchną kraty jej celi, ale nikt nie reaguje. Mam wrażenie, że tylko ja słyszę te wrzaski - coraz przenikliwiej rozbrzmiewające w środku nocy.

Po chwili to ja krzyczę:

- Zarmina, co się dzieje?

Odpowiada mi kolejnym bolesnym jękiem. Mój głos nie jest zbyt silny, ale wrzeszczę ze wszystkich sił:

- Ratunku! Na pomoc!

Wstaję i walę pięściami w grube, drewniane drzwi celi, ale nie słyszę nic prócz rozpaczliwych ryków Zarminy. Chwytam za żelazną menażkę i z całych sił uderzam z góry metalową łyżką. Robię straszliwy hałas, chwilami udaje mi się nawet zagłuszyć krzyki Zarminy, ale to nic nie daje. Nikt nie reaguje. Zupełnie, jakbyśmy były same w tym więzieniu - tylko Zarmina i ja. Co się dzieje z resztą dziewczyn? Czemu się nie obudziły? Co mogę jeszcze zrobić? Rozglądam się wokół, ale jestem zupełnie bezradna.

- Zarmina! Zarmina! Odezwij się!

Ale Zarmina, ku mojej rozpacz, już nie odpowiada. Zarmina już nie krzyczy.

Kładę się z powrotem i z wielkim trudem zasypiam. Nie wiem, czy wciąż słyszę krzyki Zarminy, czy tylko echo jej cierpień nadal rozbrzmiewa w mojej głowie.

Następnego dnia rano, podczas spaceru, dowiaduję się, że Zarmina umarła tej nocy. Nikogo to nie dziwi, tak jakby wszystko było z góry ustalone. Postanawiam porozmawiać z moimi sąsiadkami.

- Nic nie słyszałyście w nocy?

- Nie - odpowiada jedna z nich. - A ty? - dodaje, zwracając się do drugiej. - Słyszałaś coś?

- Nic a nic - odpowiada kobieta z miną współwinnicy jakiegoś przestępstwa.

Po czym zaczynają chichotać. Ja jedna zdaję się przejęta śmiercią Zarminy. Ja jedna nie rozumiem, jaka intryga się tutaj rozegrała w środku nocy. Zarmina była muzułmanką - podobnie jak ja oskarżoną o . Jej historia była doprawdy absurdalna. Dopiero co wyszła za mąż, kiedy w Śer Garh, wiele godzin drogi stąd, przydarzył im się z mężem wypadek motocyklowy. Na szczęście nie zostali poważnie ranni, jednak kiedy jej mąż stracił panowanie nad motocyklem - z Zarminą, siedzącą za nim okrakiem - pojazd zakończył swą szaloną jazdę na pomniku poświęconym Prorokowi Mahometowi. Obydwoje zostali oskarżeni o i wrzuceni do więzienia.

A teraz Zarmina nie żyje... Była miła, będzie mi jej brakować. Dlaczego to my - moja muzułmańska siostra, która wczoraj umarła i ja - zostałyśmy oskarżone o ? Nie rozumiem. Czy ludzie oszaleli?

Kiedy na powrót trafiam do swojej celi, wciąż mam dreszcze na całym ciele na wspomnienie Zarminy. Pocieszam się myślami o Ashią, który ma mnie dzisiaj odwiedzić.

Dziękuję Bogu, że czuwa nade mną i nad moją rodziną i powtarzam modlitwę, której babcia nauczyła mnie, kiedy byłam mała:

Ojcze, dziękuję Ci za opiekę, którą otoczyłeś mnie tej nocy. Dziękuję Ci za nowy dzień i za zdrowie, którym nas obdarzasz. Panie, pozostań przy nas przez cały dzień - kiedy pracujemy, kiedy odpoczywamy i kiedy się bawimy. Wypełnij nas i wszystkich wokół Swą miłością. Amen.

Babcia kazała mi powtarzać tę modlitwę przez całe dzieciństwo, tak bym nauczyła się jej na pamięć. Dzisiaj, w tej smętnej celi, nie mam przy sobie nic - żadnego zdjęcia, żadnego przedmiotu. Pozostały mi za to moje drogie wspomnienia. Zauważyłam, że wspomnianie dzieciństwa bardzo pomaga mi w znoszeniu pobytu w więzieniu. Nigdy nie zapomniałam tej modlitwy - aby sprawić radość babci, którą bardzo kochałam. Babcia była dla mnie niczym druga matka - nazywałam ją zresztą Amii, jak mamę. Nigdy nie poznałam dziadka, który zginął jako żołnierz w wojnie z Indianami, ale Amii często mi o nim opowiadała. Mówiła, że dziadek zawsze był odważnym i dobrym człowiekiem. Z babcią, rodzicami, braćmi i siostrami żyliśmy wszyscy pod jednym dachem w skromnym domu w Kutupurze, która znajduje się zaledwie dziesięć kilometrów od Ittan Wali. Kiedy skończyłam pięć lat, babcia zaczęła posyłać mnie po chrust. Rok później rodzice kazali mi chodzić po wodę do rzeki. Dobrze znałam tę rzekę. Dojście do niej zajmowało mi zaledwie kilka minut, ale droga powrotna trwała niemal godzinę - tak bardzo gliniane dzbany z wodą były ciężkie i nieporęczne. Chodziłam po wodę codziennie i byłam szczęśliwa, mogąc spełniać ten obowiązek. Stanowił dla mnie okazję do zabawy i do śmiechu z kuzynami i z dziećmi z

sąsiedztwa. Razem włóczyliśmy się po okolicy i pluskaliśmy się w wodzie - a ja aż śmiałam się ze szczęścia. Tak bardzo lubiłam tę rzekę! Nadal ją lubię. Jakże chciałabym nad nią wrócić z Ashią i z dziećmi...

Nie byliśmy bogaci, a mój ojciec ciężko pracował na polu. Uprawiał pszenicę, ale sam nie posiadał ziemi. Ponadto, każdej jesieni wyjeżdżał i wykonywał pracę na rzecz pewnego bogatego właściciela ziemskiego. Spoczywała na nim wielka odpowiedzialność - musiał bezpiecznie przeprowadzić około dwudziestu baranów aż do stolicy Afganistanu, Kabulu. Była to wielotygodniowa epopeja, rozgrywająca się na kamienistych górskich ścieżkach. Karawana posuwała się do przodu z trudem, a konie z ostrożnością stawiały kopyta na niestabilnej powierzchni, ale prawdziwe niebezpieczeństwo czyhało w wąskich przełęczach - z jednej strony zbocze przypominające zęby piły, z drugiej przepaść bez dna. Jego powrót był dla nas wszystkich niczym wybawienie. I - choć ojciec wracał zmęczony - ulgę przynosiła mu świadomość, że zarobił wystarczająco dużo, byśmy mogli spokojnie przeżyć całą zimę.

Za każdym razem, kiedy wracał, brał mnie na kolana i opowiadał mi o swoich przygodach. Afgańskie wioski z nieskończoną liczbą uliczek, które wyznaczały drogę pośród lepierek, drewniane drzwi, otwierające się nieśmiało na widok cudzoziemca, ogorzałe, brodate twarze, głowy w turbanach, kobiety w burkach, pojawiające się na chwilę, by po chwili zniknąć... Ojciec, zazwyczaj dyskretny i raczej skryty, uwielbiał dzielić się z nami swoimi odkryciami. Nikt nigdy nie opuszczał wioski, a dzięki niemu ludzie, którzy przychodzili, by go posłuchać, mieli wrażenie, że i oni podróżują. Kiedy opowiadał o dalekiej stolicy, Kabulu, kobiety obsiadały go wokół i zachowywały się jak małe dziewczynki. Z wybałuszonymi oczami, podrygiwały na samo wspomnienie o nowym budynku wyposażonym w elektryczność, o wyremontowanej arterii czy o nowiutkiej dzielnicy, która wyrastała spod ziemi podczas opowieści ojca.

Mama również ciężko pracowała jako zbieraczka na polach trzciny cukrowej. Podziwiałam jej piękno. Kiedy była na wyciągnięcie ręki, dotykałam jej, brałam jej twarz w dłonie. Mama była bardzo odważną, nieznaną z męczenia kobietą. Nigdy nie odpoczywała, za wyjątkiem nocy, w które lubiłyśmy się do siebie tulić. Nie chodziłam do szkoły, moi bracia i siostry również. Pewnego dnia ojciec powiedział:

- Będziecie chłopami jak my. Nie potrzebujecie do tego wykształcenia.

To babcia, o pomarszczonej skórze i obolałych plecach, opiekowała się nami w ciągu dnia. Amii była bardzo stara, ale nie wiedziała, ile ma lat - podobnie jak tata i mama, którzy mieli tylko względne pojęcie na ten temat. W odległych wioskach, jak nasza, wiek nie ma znaczenia. Wiek to życie, czas, który mija...

Wszyscy razem byliśmy szczęśliwi i ani mnie, ani moim dwóm braciom i dwóm siostram nigdy niczego nie brakowało. Jedliśmy zawsze tyle, by zaspokoić głód - nie było dnia, w którym zabrakłoby ćapati i ryżu, a kurczak pojawiał się na naszym stole co najmniej dwa razy w tygodniu. Mieliśmy też dwie kozy i barana. Babcia była łagodna i uczuciowa, podczas gdy rodzice traktowali nas bardziej surowo. Zwracali nam uwagę, kiedy śmialiśmy się zbyt głośno albo kiedy dla zabawy rzucaliśmy kamykami przez podwórko. Tata robił się wtedy czerwony ze złości i wybierał losowo któreś z nas, by wymierzyć mu karę, bijąc kijem po nogach. Do dziś pamiętam, jak okropnie to bolało. Bardzo baliśmy się taty, kiedy brał ten gruby kostur do rąk. Mama trzymała go zawsze koło łóżka, jednak nawet nieruchomy wywoływał we mnie strach - starałam się więc nań nie spoglądać. Rodzice byli dla nas surowi, ale kochali nas i zawsze bardzo się starali, byśmy byli dobrze ubrani, żeby ludzie nie mieli nas za biedaków. Z kolei babcia uwielbiała mnie łaskotać przy każdej nadarzającej się okazji. Często brała mnie rękami kolana, głaskała po nogach i śpiewała wyliczankę, którą wciąż nuciłam jedynie w myślach, by dodać sobie nieco otuchy w tym posępnym więzieniu.

Bardzo dobrze pamiętam dzień, w którym dowiedziałam się o śmierci Amii.

Trwał monsun. Odbływały się ważne zbiory i mama cały dzień ciężko pracowała na polu. Bawiłam się starymi szmacianymi lalkami, które babcia uszyła dla mnie i dla mojej siostry Nadjimy, kiedy matka odezwała się do mnie nieco oschłym tonem:

- Asia, masz już szesnaście lat i twoja babcia dzisiaj zmarła.

Nie byłam już dzieckiem, ale posmutniałam jak mała dziewczynka. To była moja pierwsza prawdziwa troska i za nic w świecie nie dało się mnie pocieszyć.

Myślę o moich dzieciach, które również muszą być zrozpaczone. I choć jeszcze nie umarłam, to wiem, że jestem już bliska śmierci. Właśnie upłynęło dziesięć dni, odkąd sędzia ogłosił wyrok - i wiem, że w każdej chwili mogę skończyć ze sznurem zawiązanym wokół szyi.

Przychodzi do mnie moja urocza Zenobia.

- Asia, masz wizytę! - oznajmia mi z szerokim uśmiechem.

Podrywam się z łóżka, przeschęśliwa na myśl o chwili wytchnienia u boku męża. Kiedy wkraczam do biura, sąsiadującego z gabinetem dyrektora, nie mogę uwierzyć własnym oczom. Moje córki, Isham i Sidra, również mnie odwiedziły. Ashią jest wyraźnie zadowolony ze swojego prezentu-niespodzianki.

- Moje kochane, przyszlęście! Jak to możliwe? Jak zdołałyście tu wejść? Tak bardzo się cieszę, że was widzę!

Ashią tryumfuje:

- Nie było łatwo, stoczyliśmy z Tahirem prawdziwą bitwę, by pozwolili dziewczynkom się z tobą zobaczyć. Jak widzisz, udało się.

Myślę sobie, że ta przysługa może oznaczać, że nie zostało mi już zbyt wiele czasu. Zatrzymuję jednak tę refleksję dla siebie, nie chcąc popsuć radosnej atmosfery.

- Jak się macie, moi kochani?

Isham, moja mała, dziewięcioletnia córeczka odpowiada ze łzami w oczach:

- Tęsknimy za tobą, mamó. Chcemy, żebyś wróciła. Bez ciebie to nie tak samo.

Smutek ściska mnie za gardło, lecz nie chcę się rozplakać.

- A ty, Sidro, jak się masz? I co u naszej Ishy, nie robi zbyt wielu głupstw?

- Wiesz, mamó, że nie mogę już chodzić do szkoły, bo muszę się nią teraz opiekować. To dosyć trudne, bo cały czas się o ciebie dopytuje, a ja już nie wiem, co mam jej mówić. Nie rozumie, kiedy jej tłumaczę, że jesteś w więzieniu.

- Kochanie, wiem, jakie musi być dla ciebie trudne opiekowanie się starszą, piętnastoletnią siostrą, która wymaga od ciebie tyle uwagi, co małe dziecko, ale musisz za wszelką cenę uczeplić się nadziei - i jej nie tracić.

Staralam się powstrzymać łzy, jednak czuję, że spływają mi po policzkach wbrew mojej woli. Płacemy we trzy. Tylko Ashią nie płacze, ale widać, jak bardzo jest wzruszony. Po chwili klaska w dłonie, chcąc zmienić nastrój, wstaje i mówi:

- Asia, mam dla ciebie dwie nowiny - dobrą i złą. Zacznę od złej, skoro jeszcze płaczesz. Pamiętasz, co powiedział ci Shahbaz Bhatti, minister do spraw mniejszości, w sprawie prośby, którą chciał złożyć u prezydenta Pakistanu, by ten cię uwolnił?

- Tak, to się nazywa „łaska prezydencka”!

- Właśnie. Niestety, prezydent nic nie może na razie zrobić. Tahir wyjaśnił mi, że wymiar sprawiedliwości nie pozwala mu decydować w tej kwestii. Musimy czekać na twój nowy proces w Lahaur, bo prezydent powinien poznać decyzję sądu najwyższego, zanim będzie mógł się wypowiedzieć w sprawie łaski. Wyobrażasz sobie? Nawet prezydent Pakistanu nie może podjąć decyzji o twoim uwolnieniu, to niewiarygodne!

Jestem rozczarowana, ale nie chcę się w tej chwili koncentrować na tej dopiero co rozwianej nadziei.

- Powiedz mi lepiej, jaka jest dobra wiadomość.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć? - przekornie pyta Ashią.

- Och, tak! Mów prędko, proszę!

Ashią bierze głęboki oddech. Córki patrzą na niego z zachwytem, kiedy przemawia uroczystym tonem:

- Papież Benedykt XVI wspomniał o tobie na placu Świętego Piotra w Rzymie.

Podskakuję z radości, podrywam się z krzesła i krzyczę:

- Nie wierzę!

Strażnik daje mi znak, bym się uspokoiła. Siadam posłusznie, żeby nie skrócono czasu wizyty i cichym głosem zwracam się do Ashią:

- Opowiadaj! Jak to możliwe? Nie mogę w to uwierzyć, że sam Ojciec Święty o mnie mówił!

- Nie do końca wiem, jak do tego doszło...Może to Shahbaz Bhatti mu o tobie opowiedział? A może to dlatego, że po ogłoszeniu wyroku przez sąd odpowiadałem zagranicznym dziennikarzom na wiele różnych pytań? Poza tym jesteś pierwszą i jedyną kobietą skazaną w Pakistanie na śmierć w tym stuleciu, więc wszyscy się tobą interesują.

- A wiesz, co dokładnie powiedział?

- Tak.

- Na co zatem czekasz? Powiedz mi!

Ashią z dziećmi śmieją się z mojej niecierpliwości. Jest mi tak dobrze z moimi bliskimi, że mogłabym z nimi tutaj spędzić cały dzień.

- Oto, co dokładnie powiedział, przed tysiącami ludzi i w obecności kamer telewizyjnych: „Myślę o Asii Bibi i o jej rodzinie i proszę, by zwrócono jej jak najszybciej pełną wolność”. Dodał też, że będzie się modlił za wszystkich chrześcijan w Pakistanie, nierzadko padających ofiarą przemocy i dyskryminacji.

- Ooo...

To wszystko, co jestem w stanie z siebie wydusić.

- Widzisz, mówił też o nas: „jej rodzina”. Nie tylko ty jesteś gwiazdą - dodaje, śmiejąc się, Ashią.

- To naprawdę niesamowite... Widzicie, moje dzieci, jeszcze nie wszystko stracone. Musimy pokładać ufność w naszym Panu, On jest z nami i wydostanie mnie stąd, prędzej czy później.

Zbliża się dwóch strażników, dających mi znak, że wizyta dobiega końca. Zanim znów przywiążą mnie do swoich pasków, mogę jeszcze uściskać obie córki.

- Kocham was, moje dzieci. Nie martwcie się, mama niedługo wróci.

Ashią żegna mnie czułym gestem, rzucając mi swoje psotne spojrzenie.

Wracam do celi i nadal nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Sam Ojciec Święty, papież we własnej osobie, myśli o mnie i modli się za mnie. Zastanawiam się, czy zasłużyłam na taki zaszczyt i uwagę. Dlaczego właśnie ja? Jestem tylko biedną chłopką.

Bez wątpienia są na świecie inne osoby, które cierpią jak ja, albo jeszcze bardziej.

Dziękuję, Boże, za całe dobro, którym mnie dziś obdarzyłeś.

Po raz pierwszy zasypiam uspokojona.

Zabili gubernatora

Budzę się z bólu. Czuję go w całym ciele. Cierpię z powodu stawów, ledwo ruszam rękami i nogami, mam zdrętwiały kręgosłup. Przypominam staruszkę, której szkodzi byle wilgoć i chłód.

Odkąd mnie aresztowano, śpię na zwykłej pleciance, bez prześcieradła ani poduszki, owinięta w zużytą kołdrę. Zima w Pendzabie nie trwa wprawdzie dłużej niż dwa miesiące, lecz styczniowe noce należą do najzimniejszych. Od małego wiem, że o tej porze roku temperatury spadają poniżej zera. Aby zwiększyć swoje szanse, kilkakrotnie pytałam różnych strażników, czy mogliby mi przynieść dodatkową kołdrę. Jeden z nich odpowiedział mi z uśmiechem: „tak”, ale dni mijają, a ja wciąż się jej nie doczekałam. Nie naciskam, aby ich nie rozdrażnić, aby nie pokazać, że mi na tym zależy. Być może w końcu się nade mną zlitują, kiedy zobaczą mnie skuloną w pozycji embrionalnej, z kolanami pod podbródkiem. Większość czasu spędzam w ten sposób, zwinięta na swoim ćarpai, aby zatrzymać odrobinę ciepła, którą emituje moje rachityczne, obolałe ciało.

Tej nocy jeszcze bardziej skostniałam z zimna - ale i ze strachu. Doznałam przerażającego uczucia, że już zawsze będę sama. Nie miałam pojęcia, że to przecucie sprawdzi się zaledwie kilka godzin później, kiedy stracę resztki nadziei, która do tej pory trzymała mnie przy życiu.

Czwartego stycznia po południu zauważyłam dookoła większe zamieszanie niż zazwyczaj.

Hałasy na korytarzu, szybkie, niecierpliwe kroki, odgłos potrącanego raz po raz metalowego kubła, stojącego z drugiej strony pokoju strażników. Drzwi otwierające i zamykające się z trzaskiem. Wszystkie te dźwięki odbijają się dalekim echem, docierając aż do mojej celi. Podskakuję. Odpowiada mi metaliczny hałas. Po chwili znowu nastaje cisza. Przeraza mnie ta niekończąca się bieganina w tę i z powrotem. Z odgłosem każdego kroku serce zaczyna mi bić mocniej. Nie czuję już zimna, ale oblewający mnie strach. Jestem pewna, że to ja stoję za tym całym zamieszaniem - że przyjdą po mnie, żeby mnie powiesić, tak jak ponad dziesięć tygodni temu zawyrokował sędzia Iqbal. Strach, który mną zawładnął, jest tak silny, że tracę poczucie rzeczywistości. Wydaje mi się, że mijają całe godziny, podczas gdy z pewnością upłynęło tylko kilka minut.

I oto nagle hałas zatrzymuje się u moich drzwi i zamiera. Słyszę ciszę śmierci - ciężką i namacalną. Chciałabym uciec, opuścić to więzienie, ale jestem sparaliżowana, stężała od tej

groźnej ciszy. Klękam, zwrócona twarzą do zagrzybionej ściany i modłę się, by nie słyszeć już tego, co z pewnością wiesz mój koniec. Wymownej ciszy, która niestrudzenie powtarza mi, że mnie skazano. Drżą mi ramiona, czuję, jak blednie mi twarz, a wszystkie kończyny zaczynają się trząść - skupiam się, by trzymać złączone dłonie i zamykam oczy.

Mój Boże, nie przygotowałam się na to, nie jestem jeszcze gotowa na śmierć. Daj mi jeszcze trochę czasu, pozwól mi po raz ostatni ujrzeć moje dzieci. Usłysz mą modlitwę, jestem na skraju rozpacz.

Wielka, czarna mucha brzęcząca mi nad głową przywraca mnie do rzeczywistości. Nie umarłam, to fakt, czepiam się więc tego irytującego hałasu jak ostatniej deski ratunku. Drzę i po raz kolejny błagam Boga, by zostawił mnie przy życiu.

Boże, miej nade mną litość. Akceptuję śmierć, poddaję się Twojej świętej woli. Wybacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią. Mój Boże, składam moją duszę w Twych rękach.

Wówczas dobiega mnie z daleka kolejny dźwięk. Wytężam słuch. Dzięki Bogu, to tylko szum z telewizora. Rozpoznaję muzykę z „Geo news”. Szaleję z radości, uspokojona codziennym zwyczajem strażników, którzy włączają telewizor za każdym razem, kiedy naszym krajem wstrząsa kolejny zamach. Ten smutny rytuał daje mi kolejne odroczenie, jestem tego pewna. Mijają godziny, a telewizor nie przestaje ryczeć. Myślę sobie, że tym razem zamach musiał być poważny. Zapada noc i w końcu udaje mi się zdrzemnąć. Cała podskakuję, kiedy Khalil otwiera drzwi mojej celi, by podać mi posiłek, a w zasadzie menażkę. Khalil, przynosząc mi jedzenie, za każdym razem obchodzi się ze mną gorzej niż z psem. Ma chmurne spojrzenie, zwracam uwagę, że wygląda inaczej niż zwykle. Wpatruje się we mnie. Widać, że chce mi coś powiedzieć, w końcu parska śmiechem i rzuca:

- Właśnie przez ciebie zamordowali twojego anioła stróża. Twój ukochany gubernator Salman Taseer, ten zdrajca islamu, kąpie się teraz we własnej krwi. Dostał w Islamabadzie dwadzieścia pięć kulek, bo wziął cię w obronę. Nieźle go sprzątnęli! Powinnaś teraz lepiej siedzieć cicho!

Po czym zatrząskuje za sobą drzwi.

Rozpacz ściska mnie za serce, oczy wypełniają łzy. Boże, dlaczego? Salman Taseer był dobrym człowiekiem. Zarządzał moją prowincją - największą i najbogatszą w Pakistanie. Pendżab, zamieszkiwany przez 90 milionów osób, zwie się „krajem pięciu rzek” albo „krajem czystych ludzi”* - i Salman Taseer był jednym z nich. Nie był politykiem jak inni. Nie był żądny władzy i pieniędzy jak reszta. Obchodził go człowiek, nie bał się sprzeciwiać talibom i islamistom. Kiedy dowiedział się o wyroku śmierci, który na mnie wydano, publicznie stanął

w mojej obronie. Złożył mi wizytę w więzieniu i zorganizował nawet konferencję prasową. Tamtego dnia nie miałam pojęcia, że będę musiała zwracać się do dziennikarzy - a być może do całego świata...

Nadal pamiętam, jak odrażający Khalil z hałasem otworzył drzwi do mojej celi, owinięty w dużą, czystą i grubą kołdrę, zwrócił się do mnie chłodno:

- Masz wizytę.

*Pendżab - z perskiego „kraj pięciu wód (rzek)” - faktycznie przecina pięć dopływów Indusu: Bjas, Ćenab, Dźhelam, Rawi oraz Satledź. Określenie „kraj czystych (ludzi)” odnosi się natomiast do Pakistanu, którego nazwę rzeczywiście należałoby tak tłumaczyć z urdu i z perskiego (przyp. tłum.).

Byłam zaskoczona - to nie był dzień, w którym odwiedzał mnie Ashi, a z adwokatem widziałam się parę dni wcześniej.

- Rusz się wreszcie! - ryknął Khalil. - Mówię ci, że masz wizytę.

Jego głos jest tak ostry, że aż podskakuję od tego ryku.

- Ruszaj się, mam inne rzeczy do roboty!

Znowu podskakuję, nie mogąc powstrzymać się od myśli, że owszem - nie ma nic innego do roboty. A ja podskakuję - oto, co robię najlepiej, odkąd zamknięto mnie za tymi murami z czerwonej cegły. Podskakuję z byle powodu.

Aby nie słyszeć więcej głosu Khalila, natychmiast spełniam jego żądanie. Jeszcze jeden krzyk i sprawy mogą przybrać zły obrót. Zanim przestąpię próg celi, szybko ogarniam ją wzrokiem. Czuję ucisk w sercu. Za każdym razem, kiedy opuszczam tę zgniłą norę, której nienawidzę, zadziwia mnie fakt, jak bardzo pragnę do niej wrócić. W końcu przywiązałam się do tego grobowca, który wciąż trzyma mnie przy życiu. Z rękami i nogami przywiązanymi do paska Khalila, natychmiast rozpoznaję zapach na zewnątrz więzienia. Przyprawiający o mdłości, charakterystyczny zapach środków dezynfekujących i spalenizny. Kroki moje i Khalila odbijają się echem od zmarzniętej ziemi na długim korytarzu, po którego obu stronach znajduje się około dwudziestu cel.

Spoglądam na żółtawą, splukaną farbę, odchodzącą płatami od betonowej posadzki. Nie jestem zbyt wysoka, ale mam wrażenie, że przygniata mnie nisko sklepiony sufit, przywodzący mi na myśl cmentarną kryptę. Wydaje mi się, że słyszę głos zza grobu, rozbrzmiewający za grubymi drzwiami:

- Jesteś skończona, Asia, wybiła twoja godzina. Teraz twoja kolej...

Chichot. Jednak nim osadzeni zdążą dorzucić coś więcej, Khalil zamyka im usta, krzycząc „Zamknij się!” głosem tak przeszywającym, że słysząc go w całym więzieniu.

Kiedy tak idę w nieznane, uświadamiam sobie, że od ogłoszenia wyroku upłynęły już trzy miesiące. Doskonale pamiętam wizytę ministra do spraw mniejszości, Shahbaza Bhattiego, dzień po tym, jak usłyszałam tę straszną wiadomość. Bhatti bardzo podniósł mnie na duchu. W kolejnych dniach odwiedzali mnie też dziennikarze z lokalnych mediów. Wywiady zatarły mi się już nieco w pamięci, lecz nadal sobie przypominam, że wszyscy zadawali mi te same pytania.

Kiedy dochodzimy do drzwi, które rozpoznaję - prowadzą do gabinetu dyrektora więzienia - Khalil mruczy coś pod wąsem, zbyt cicho, bym mogła go dosłyszeć.

Wchodzimy. Zalewa mnie żółte światło. Jest dużo ludzi i panuje hałas. Podchodzi do mnie jakiś mężczyzna - wysoki, dobrze zbudowany, w okularach.

- Dzień dobry, Asia. Jestem Salman Taseer, gubernator Pendżabu. Znam twoją historię i wiem, że jesteś niewinna. Zorganizowałem konferencję prasową, byś mogła powiedzieć prawdę całemu światu.

Nie dociera do mnie, że wszyscy ci ludzie zebrali się tutaj z mojego powodu. Przerażają mnie reflektory i dziennikarze z kamerami w dłoniach, którzy filmują mnie, jak gdybym była zwierzęciem na jarmarku. Mam na sobie brązowy salwar kamiz, który mój mąż przyniósł mi w zeszłym tygodniu. Tak jak poradziła mi Nadjima, chrześcijańska posłanka, którą spotkałam wkrótce po aresztowaniu, w czerwcu 2009 roku, jestem w całości zakryta - tylko oczy pozostawiłam odsłonięte. Nadjima jest moją sojuszniczką. Dyskretnie wyszeptala mi do ucha, że za wszelką cenę muszę chować włosy pod chustą, aby nie prowokować ekstremistów, którzy nie znoszą, kiedy kobieta odsłania twarz w obecności tłumu obcych mężczyzn.

Poprawiam chustę i celowo siadam w pewnej odległości od gubernatora. Zawstydzają mnie wszystkie te nieznane mi osoby. Ja, dziewczyna z pola, obok takiego człowieka...? Nie jestem w stanie pojąć, co się właściwie dzieje.

Gubernator od razu zabiera głos. Tłumaczy dziennikarzom, że zostałam niesprawiedliwie oskarżona, że prawo wymierzone w bluźnierców zachęca do zbrodniczych działań przeciwko mniejszościom religijnym i najbardziej pokrzywdzonym, że nie tylko sprzeciwia się zasadom islamu, ale i nie przysługują się w najmniejszym stopniu tej religii. Po czym milknie. Rozumiem, że teraz moja kolej. Jestem przerażona i pewna, że nie dam sobie rady. Kobiety takie jak ja nigdy się nie odzywają, tym bardziej publicznie, a już na pewno nie w obecności cudzoziemców. Nie wiedząc, co powiedzieć, bełkoczę coś niezrozumiałego. Po chwili gubernator mi przerywa, śpiesząc mi z pomocą. Daje mi znak, żeby mnie ośmielić i prosi, bym wytłumaczyła dziennikarzom, co się wydarzyło wtedy na polu.

Nie czuję się swobodnie i z pewnością nie mówię dostatecznie głośno przed telewizyjnymi kamerami, lecz wszyscy słuchają mnie z uwagą. Po chwili zaczynam powoli nabierać pewności. To dla mnie jedyna okazja, bym mogła zapewnić o swej niewinności. Tłumaczę, co się naprawdę stało - opowiadam o kobietach, które wpadły w histerię na myśl o wypiciu wody z rąk chrześcijanki. O kłótni i o tym, jak szedł za mną wściekły tłum. O tym, jak zostałam pobita przez wieśniaków, którzy zaciągnęli mnie na posterunek policji i o tym, jak pod presją tłumu i wiejskiego mułły policjanci wrzucili mnie do więzienia, niesprawiedliwie oskarżając mnie o . Kiedy kończę, Salman Taseer dziękuje mi w uprzejmy sposób. Fakt, że mogłam powiedzieć prawdę, przynosi mi ulgę.

Nie przypuszczałam, że ta konferencja prasowa trzy miesiące później będzie kosztować życie biednego gubernatora.

Taseer znalazł nawet czas, żeby mnie pocieszyć, kiedy dziennikarze już wyszli. Zanim z powrotem przywiązano mnie do paska Khalila, powiedział mi, że muszę się trzymać i że dobrze wie, jak ciężko jest w więzieniu, w którym sam siedział w latach osiemdziesiątych. Były to czasy straszliwej dyktatury generała Muhammada Zii ulHaq*. Już wtedy gubernator sprzeciwiał się rosnącym w siłę pakistańskim fundamentalistom. Później był biznesmenem i ministrem przemysłu za rządów prezydenta Muszarrafa, zanim w 2008 roku został mianowany gubernatorem prowincji Pendżab.

*Muhammad Zia ulHaq (1924-1988) - pakistański polityk i wojskowy. W 1965 i 1971 roku brał udział w walkach pakistańskoindyjskich. W 1977 roku przeprowadził zamach stanu, w wyniku którego obalono premiera Zulfikara Alego Bhutto (ojca późniejszej premier, Benazir Bhutto). W latach 1977-1978 piastował urząd szefa rządu i przewodniczącego Rady Wojskowej, a w latach 1978-1988 - urząd prezydenta. Zdelegalizował partie polityczne, zawiesił konstytucję i wprowadził stan wyjątkowy. Wprowadził m.in. całkowitą prohibicję i starał się z prawa muzułmańskiego uczynić podstawę prawa państwowego. Po ataku na ZSRR w 1979 roku wspierał militarnie i finansowo afgańskich mudzahedinów. W 1985 roku zniósł stan wyjątkowy i przywrócił opozycję. Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w katastrofie lotniczej (przyp. tłum.).

Znów jestem w swojej niegościnniej celi. Owinięta w szorstką kołdrę, patrzę, jak wielka mucha siada na menażce z wystygłym ryżem. Jestem wyczerpana. Nie mogę nic przełknąć. Skoro udało im się zamordować tak ważną osobę, jak ja mogłabym z tego wyjść? Czy została mi jeszcze jakaś szansa? Jestem nic nieznaczącą kobietą, chrześcijanką, którą tak łatwo zabić. Usypiam przygniecioną smutkiem.

Następnego dnia po zabójstwie, po lodowatej i pełnej smutku nocy, dowiaduję się z

ust Khalila, że gubernator został zamordowany z rąk swojego własnego ochroniarza. Kilka dni później Ashią wyznał mi, że morderca krzyknął Allah akbar, zanim wyładował na nieszczęsnym Salmanie Taseerze zawartość swojego pistoletu maszynowego, a po wszystkim uśmiechał się do kamer telewizji Dunya...

Rząd wprowadził trzydniową żałobę narodową i Khalil ma mi to za złe.

- Nie będziesz wychodzić na spacer, bo to wszystko twoja wina! - drze się. - Miałem skończyć pracę w południe, ale przez tę żałobę pracujemy w niepełnym składzie.

Nic nie odpowiadam, żeby go jeszcze bardziej nie rozzłościć. Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy, kiedy kontynuuje:

- Lepiej uważaj! To, że jesteś tutaj zamknięta, nie oznacza, że masz prawo czuć się bezpiecznie...

Choć wbiłam wzrok w ziemię, i tak czuję na sobie ciężar jego zadowolonego, pogardliwego spojrzenia. Słowa grzęzną mi w gardle, obijają się o siebie jak kamyczki w strumieniu. Chciałabym odpowiedzieć, że to niesprawiedliwe, ale nic nie mówię. Odkąd mnie tu zamknięto, nauczyłam się udawać, że mnie nie ma, przybierać blady kolor ścian i upodabniać się do pyłu w mojej celi.

Na powrót sama, próbuję poukładać sobie wszystko w głowie, ale nie potrafię zebrać myśli. To się dzieje za szybko i jest zbyt skomplikowane... Mam wrażenie, że to nie ja przeżywam swoje własne życie. Czasami zastanawiam się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Nie chcę tracić nadziei. Jest ze mną Bóg - i Shahbaz Bhatti, ministerchrześcijanin.

Jednak teraz, kiedy Salman Taseer nie żyje, minister do spraw mniejszości musi wiedzieć, że i on ryzykuje życie. Zrozumiałabym, gdyby nie chciał mi już pomagać. Mój Boże, co się ze mną stanie?

Pięć dni po zabójstwie gubernatora strażnicy Khalil i Iftikar wbiegają niczym furie do mojej celi. Jeszcze śpię. Jest wcześnie. Boli mnie całe ciało, ale dobre wychowanie każe mi się podnieść. Siadam na sznurowym łożu.

- Wstawaj, przeprowadzasz się! Chrześcijanin wprowadził nowe zasady. Od tej pory będziesz w odosobnionej celi. Koniec ze spacerami! Już nie wyściubisz nosa na zewnątrz, a wszystko dla tak zwanego twojego bezpieczeństwa. Jednak gdybym był na twoim miejscu, lepiej bym uważał.

Jestem oniemiała. Udaje mi się tylko cicho wymamrotać:

- Ale dlaczego...? Co teraz ze mną będzie?

- Zdecydowanie nic nie rozumiesz. Nikt cię tu nie lubi. Wolelibyśmy, żebyś umarła. Widzisz, zabójcą Salmana Taseera okazał się jego własny ochroniarz. Zaszlachtował go z

zimną krwią, a teraz jest bohaterem w całym Pakistanie. My też jesteśmy jak gdyby twoimi ochroniarzami, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Posłuchaj - nawet Rehman Malik*, minister spraw wewnętrznych, powiedział, że zabiłby gołymi rękami tego, kto by się przy nim dopuścił bluźnierstwa. Twój chrześcijanin nic przy nim nie znaczy, więc lepiej zacznij się modlić! To, że minister do spraw mniejszości zapewnił ci odosobnienie, nie znaczy, że możesz spać spokojnie.

*Rehman Malik (ur. 1951) - minister spraw wewnętrznych Pakistanu w rządzie Yousafa Rezy Gilaniego (od kwietnia 2008 roku) (przyp. tłum.).

Jezu, pomóż mi wytrzymać cierpienie, samotność i ból. Wiesz, że jestem niewinna. Połóż koniec mej gehennie, chroń mnie i moje dzieci.

Zabili ministra

Wprawdzie dzisiaj Ashią nie składa mi wizyty, ale już od rana mam więcej entuzjazmu niż zazwyczaj. Wczoraj wieczorem, podczas ostatniego obchodu, Khalil wykrzyczał mi w twarz:

- Lepiej bądź grzeczna przez trzy następne dni z Zenobią, bo w przeciwnym razie będziesz miała kłopoty po moim powrocie.

Khalil nigdy nie odpuszcza - zawsze jest przykry i usiłuje we wszelki możliwy sposób wywołać we mnie strach. Nieraz mu się to udaje - choć mam wrażenie, że z czasem się uodporniałam. Jego poniżające uwagi dotyczą mnie dużo mniej niż kiedyś. Czasami nawet okazują się przydatne. W skrytości ducha uśmiecham się do nich. Khalil byłby wściekły na myśl, że oddaje mi przysługę, jednak to właśnie dzięki niemu wiem, że dziś jest sobota, a to oznacza zmianę warty. Od momentu, w którym zamknięto mnie w więzieniu, niewiele mam chwil wytchnienia i bardzo rzadko nadarza mi się okazja, by zaznać drobnych, prostych radości. Doceniam więc fakt, że przez kolejne trzy dni nie będę miała do czynienia z tym capem Khalilem. Na sześcioro strażników, których mi przydzielono, większość jest raczej obojętna lub miła, jak Zenobia, jedyna kobieta w tej grupie. Tylko Khalil wziął się, żeby uczynić moje życie jeszcze bardziej nieszczęśliwym, tak jakby nie było już wystarczająco smutne.

Dzisiaj przyszła zatem kolej na Zenobię. To ona będzie przez cały weekend odpowiedzialna za mój nadzór i za sprawy administracyjne. W lochu, w którym się obecnie znajduję, nie ma okna, więc już od trzech miesięcy słońca. Po zabójstwie gubernatora przeniesiono mnie do tej celi i żyję teraz w zupełnym odosobnieniu w lewym skrzydle więzienia. Jak to dobrze, że Zenobia jest przy mnie, by dodawać mi otuchy i wpuszczać odrobinę światła do mojego więziennego życia.

Odkąd mnie odizolowano, nie ruszam się z tych czterech ścian i nikt nie może wchodzić do mojej celi, by w niej posprzątać. Sama muszę się tym zająć. Ale jak? Więzienie nie zapewnia mi żadnych środków czystości. W maleńkiej celi, która ma pewnie trzy metry długości na dwa szerokości, zaraz obok łóżka znajduje się to, co Khalil nazywa ze śmiechem moją „łazienką”. W rzeczywistości to niezbyt długa rura wystająca ze ściany i dziura w ziemi. Z tym że dziura nie jest dostatecznie głęboka i donikąd nie prowadzi, a ja nie mam nic, czym mogłabym przykryć swoje ekskrementy. Żadna istota ludzka nie jest w stanie żyć w podobnych warunkach - nawet ja, dziewczyna ze wsi. Smród i widok są nie do wytrzymania.

Każdego dnia staram się wykrzesać z siebie odrobinę siły, żeby trzymać się dalej i walczyć, by zachować resztki godności - a Zenobia bardzo mi w tym pomaga. Kiedy to ona nade mną czuwa, dostaję od niej plastikowe torebki i małą łopatkę, bym mogła pozbyć się wszystkich nieczystości. Gdyby nie ona, mieszkałabym w chlewie.

W więzieniach dla kobiet nie nosi się uniformów. Sama muszę zapewnić sobie ubranie i sama muszę je sobie uprać. Niełatwo jednak je wysuszyć w mikroskopijnej celi pozbawionej okna i wentylacji. Jedyne możliwe miejsce, na którym można to zrobić, jest moje własne łóżko. Łóżko, które jest zarazem jedynym miejscem, na którym mogę usiąść, oile nie chcę się zabrudzić, siadając na zakurzonej ziemi. W ciągu dnia, po tym, jak dobrze wyżnę swoją tunikę, rozkładam ją na sznurowym łóżku, zostawiając sobie odrobinę wolnej przestrzeni, na której mogę usiąść. W nocy śpię na niej - nie mam innego wyjścia, bo nigdzie indziej nie dałoby się jej powiesić. Jednak, jako że w celi jest zawsze zimno i wilgotno, przez większość czasu noszę mokry salwar kamiz, który schnie na mnie. To nic przyjemnego, a ostatniej zimy było mi cały czas bardzo zimno. Teraz, z nadejściem wyższych, marcowych temperatur, jest już lepiej.

Ja, Asia Bibi, jestem jak trędowata - według Khalila każdy, kto przychodzi mi z pomocą lub udziela mi swojego wsparcia, automatycznie jest uważany za bluźniercę. W nowej celi jestem dzień i noc pod obserwacją kamery wideo. Jej umieszczenie wymógł minister do spraw mniejszości Shahbaz Bhatti. Każdego dnia modłę się za tego człowieka, który miał w sobie tyle odwagi i dobroci, by kilka miesięcy temu złożyć mi wizytę i który, zgodnie ze złożoną mi obietnicą, czuwa nad moją rodziną, a nawet dba o moje bezpieczeństwo w więzieniu.

Kiedy siódmego stycznia trafiłam do tej celi, jeszcze mniejszej od poprzedniej, cały czas obserwowałam małą puszkę zawieszoną w rogu sufitu, nie mając pojęcia, do czego mogłaby służyć. Pamiętam, jak po kilku dniach skorzystałam z obecności Zenobii, by ją o to zapytać.

- To kamera monitorująca - odparła swym cichym głosem. - Dzięki niej jesteś tutaj bardziej bezpieczna.

Jej odpowiedź niewiele mi wyjaśniła.

- Nie rozumiem. Często spoglądam na ten przedmiot, ale on się wcale nie porusza. W jaki sposób ma mnie chronić? Czy to nie przypomina raczej jakiejś broni?

- To kamera, która bez przerwy cię nagrywa - odparła z uśmiechem Zenobia. - Jest połączona z telewizorkiem w pokoju strażników, którzy dzięki temu widzą wszystko, co dzieje się w twojej celi.

- Chcesz przez to powiedzieć, że przez cały czas mnie podglądają? Nawet kiedy się myję albo...

Wolałam nie kończyć, lecz Zenobia zrozumiała, co miałam na myśli.

- Tak, to prawda. Pozbawiono cię przez nią intymności, jednak jeśli ktoś chciałby cię zabić, nie zrobi tego, bo wszyscy by go zobaczyli na nagraniu i rozpoznali.

- Teraz rozumiem. Nie podoba mi się to, że jestem nieustannie obserwowana, ale jeśli taka jest cena, jaką trzeba zapłacić, bym pozostała przy życiu, to trudno.

Później adwokat powiedział mi, że wielu więźniów oskarżonych o nie doczekuje wyroku, gdyż zabija się ich w ich własnych celach, nim zdążą stawić się w sądzie.

Przyzwyczyłam się już do kamery i nawet na nią nie patrzę. Czasami tylko się zastanawiam, czy rzeczywiście działa i czy strażnicy cały czas mnie obserwują. Odkąd mnie tu zamknięto, bardzo cierpię, że pozbawiono mnie możliwości rozmów i kontaktów z innymi ludźmi... Ja, taka gaduła, od tak dawna z nikim nie rozmawiałam. Pobyt tutaj nauczył mnie, że aby przetrwać, nie wystarczy trzymać się fizycznie. Rozmowa, kontakty międzyludzkie, nawet przypadkowe, bez wątpienia chronią przed szaleństwem. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale zdałam sobie sprawę, że najzwyczajsze rzeczy, których na wolności nawet się nie zauważa, w tutejszej przygnębiającej rzeczywistości nabierają znaczącej wagi. Nie doceniałam wszystkich tych drobiazków, które nadawały rytm mojej codzienności, takich jak wybieranie się po mąkę do sklepu, aby upiec z niej potem pyszne ćapati dla całej rodziny. Tęsknię za moim poprzednim życiem i szalenie mi smutno, że tak brutalnie mnie go pozbawiono... Jedną z trudniejszych do zniesienia rzeczy jest fakt, że nie mogę robić nic poza kręceniem się w kółko po mojej celi. Przed przeniesieniem do izolatki miałam prawo do porannego i popołudniowego spaceru. Teraz - również ze względu na bezpieczeństwo - w ogóle nie opuszczam celi i nie widuję się z nikim z więzienia, prócz strażników i Khalila z wyłupiastymi oczami. Podczas spacerów nie wchodziłam wprawdzie w bliższe relacje z więźniarkami, lecz sam fakt, że mogłam z nimi zamienić parę słów, popatrzeć na ich twarze i posłuchać ich opowieści pozwalał mi nieco odetchnąć i oderwać na chwilę wzrok od szarych, brudnych ścian celi.

Często się zastanawiam, co słyhać u moich byłych sąsiadek. Jest nas wszystkich około setki, większość oskarżona o cudzołóstwo. Jednak w rzeczywistości wiele kobiet zostało zgwałconych. Choć same są ofiarami, uznaje się je za winne. Podczas spacerów było nas nie więcej niż dwadzieścia, z pewnością dlatego, że więzienne podwórko nie jest zbyt duże. Przypominam sobie małą Yasminę, która miała zaledwie dwadzieścia dwa lata. Pewnego dnia ujrzałam, jak płacze skulona w kącie, podeszłam więc do niej.

- Co się dzieje? Coś ci się stało?

- Zostałam zgwałcona, bo mój szwagier oskarżył mnie o kontakty z członkiem innego plemienia. Kiedy wiadomość się rozniosła, ojciec odmówił wydania mnie i pomógł mi w ucieczce, jednak zostałam schwytana przez wodza. Uwięził mnie i gwałcił przez cały rok. W końcu wreszcie mnie uwolnił, a ja urodziłam mu dziecko, po czym wrzucono mnie do więzienia.

- Co się stało z dzieckiem?

- Nie wiem, odebrano mi je zaraz po urodzeniu. Nie dowiedziałam się nawet, czy to dziewczynka, czy chłopiec.

Starsza kobieta, która siedziała na niskim murku i przysłuchiwała się naszej rozmowie, odezwała się do Yasminy:

- Zabili twojego dzieciaka, nie ma co do tego wątpliwości. Był okryty hańbą, bo nie miał prawowitego ojca.

- Skazali mnie na wiele lat więzienia - dodała Yasmina - bo, jak powiedział sędzia, dziecko przyszło na świat w wyniku ziny, cudzołóstwa*.

U nas we wsi słyszałam niejedną straszną historię obrutalnych odwetach i gwałtach na kobietach. Cierpiałam razem z małą Yasminą.

- Wiesz, czy twojego gwałciciela również skazano?

Zamiast niej odezwała się starsza kobieta o niebieskich oczach i pomarszczonej twarzy, rzucając sucho:

- Gwałciciele nie mają się czego obawiać w naszym kraju. Chroni ich prawo.

Kobieta musiała dużo wiedzieć, poprosiłam więc, by powiedziała coś więcej.

- To było w 1979 roku. Jesteście zbyt młode, by pamiętać dyktatora Zię ulHaqa. To ten generał, który wprowadził rozporządzenia hudud**. Nowe prawa uznawały za przestępczynię każdą kobietę, która miała relacje pozamałżeńskie. Cudzołóstwo uznano za zbrodnię, karaną dożywotnim więzieniem lub poprzez ukamienowanie. Sześć lat temu złagodzono to prawo i wprawdzie nie ukatrupia się już dziewczyn kamieniami, lecz nadal wrzuca się je do więzienia na całe lata, jak ciebie, Yasmino.

*Zina - w prawodawstwie muzułmańskim ogólne określenie niezgodnych z prawem (pozamałżeńskich) kontaktów seksualnych między kobietą i mężczyzną (przyp. tłum.).

** Rozporządzenia hudud - prawo wprowadzone w 1979 roku

Podeszła do nas kobieta o twarzy ukrytej pod czarną burką.

- Wniosłam skargę do sądu na dwóch mężczyzn, którzy przyszedli do mojej sypialni, gdy spałam i brutalnie mnie zgwałcili. Posłużyłam za wyrównanie rachunków dwóm

właścicielom, kłócącym się o sporny kawałek ziemi.

- To prawda - odparła kobieta o niebieskich oczach, która dużo wiedziała. - W naszej kulturze, a już zwłaszcza w Pendżabie, często wykorzystuje się nas, kobiety, by rozstrzygać sąsiedzkie konflikty lub walki plemienne. Jak nas nie gwałcą, to oblewają nas kwasem.

Zauważyłam, że przysłuchują się nam strażnicy. Najwyraźniej nie podobała im się nasza dyskusja i rzucali nam przez Muhammada niechętnie spojrzenia. Kobieta w burce zaczęła opowiadać, że została skazana na pięć lat więzienia, bo nie była w stanie przedstawić czterech świadków gwałtu, czego wymaga obowiązujące prawo.

*Zię ulHaqa, przewidujące surowe kary za zinę (zob. poprzedni przypis), ąazf (fałszywe oskarżenie o zinę) i kradzież oraz wprowadzające całkowitą prohibicję. Rozporządzenia hudud zostały zlikwidowane bądź złagodzone na mocy ustawy z 2006 roku, tzw. Ustawy na rzecz kobiet (przyp. tłum.).

- Ale to przecież niemożliwe! - wykrzyknęła starsza kobieta o niebieskich oczach. - Jeśli nawet znajdzie się świadków, to rodzina, klan lub plemię oskarżonego mężczyzny grożą im śmiercią.

Nelofar, która nie ma nawet dwudziestu lat, gnije tu już drugi rok w oczekiwaniu na proces - tylko dlatego, że zaszła w ciążę w wyniku gwałtu, którego dokonał na niej jej własny wujek. Urodziła w więzieniu, ale nikt nie wie, co stało się z dzieckiem. Prawdopodobnie zostało zabite natychmiast po narodzinach.

Dzieciobójstwo jest bieżącą praktyką. Kiedy miałam dwanaście lat, mama powiedziała mi, biorąc mnie na kolana, że niektórzy zabijają żeńskie noworodki, bo dziewczynki nie przynoszą dochodów, a drogo kosztują swoich bliskich, którzy po ślubie muszą zapłacić posag rodzinie męża. Byłam zdruzgotana. Na koniec mama dodała:

- Widzisz, Asia, ale my cię zostawiliśmy.

Słuchając opowieści więźniarek, zdałam sobie sprawę, że nie tylko ja cierpię. Wszyscy tutaj wiedzieli od pierwszych dni, że byłam chrześcijanką oskarżoną o . Niektóre muzułmanki patrzyły na mnie nieco krzywo, ale dawały mi spokój. Nie mogłyby mi zrobić nic złego na małym spacerniaku pod czujnym okiem strażników. Najczęściej zadowalałam się słuchaniem i nie mieszałam się do rozmów. Ostatnie doświadczenie z muzułmankami doprowadziło mnie właśnie tutaj - być może na zawsze, o ile mnie wcześniej nie zabiją. Bóg jeden wie, o co jeszcze mogliby mnie oskarżyć...

Co powinni - i co mogą - odpowiedzieć chrześcijanie, gdy muzułmanin pyta ich, czy wierzą w Allaha i w Proroka Mahometa? Zostałam wychowana w wierze w Chrystusa, Matkę Boską i Trójcę Świętą. Szanuję islam, ale co mam odpowiedzieć w takiej sytuacji? Jeśli

powiem, że nie wierzę w Allaha, tylko w Boga i w Jezusa Chrystusa, będę postrzegana jako bluźnierczyni. Jeśli powiem, że w niego wierzę, stanę się zdrajcą jak święty Piotr, który trzykrotnie wyparł się Jezusa. Nigdy wcześniej nie zadawałam sobie tych pytań...

Nie wiem, czy mała Nelofar została osądzona i nadal znajduje się za tymi murami, czy też może ją zwolniono. Nie dzielimy już korytarza i nie mieszkamy w sąsiadujących celach - zostałam zupełnie odcięta od zewnętrznego świata i od życia, toczącego się w tym więzieniu. W pace, z której nie da się zobaczyć nawet nieba, nie widać i nie słyszać niczego, co się wokół dzieje.

Ashią nie mówi mi wszystkiego, by mnie chronić i dodać mi odwagi, bym dalej mogła wierzyć, że któregoś dnia stąd wyjdę. Natomiast Zenobia informuje mnie o wszystkich wydarzeniach związanych z moją sprawą, która, odkąd skazano mnie na śmierć, nabrała charakteru sprawy wagi państwowej. To ona powiedziała mi między innymi o licznych manifestacjach, które odbyły się w Lahaur, Karaczi i Islamabadzie. To przerażające - tysiące ludzi wyszły na ulicę po to, by głośno krzyczeć, że powinnam umrzeć - ja, biedna, nic nieznająca dziewczyna. Wbrew woli stałam się symbolem prawa przeciw bluźniercom. Te manifestacje są skierowane przeciwko mnie, by za wszelką cenę utrzymać prawo, które i tak wydaje się nienaruszalne odkąd zabito gubernatora. Według Zenobii za tymi manifestacjami stoi JamaateIslami. JamaateIslami to najstarsza muzułmańska partia w Pakistanie, istniejąca od samych narodzin naszego kraju po podziale Indii w 1947 roku*. Wprawdzie niewiele wiem o świecie, ale znam tę partię, bo powstała w moim rodzinnym Pendżabie. Pewnego dnia trzech młodych chwatów z JamaateIslami przyszło aż do naszej wsi, by znaleźć nowych adeptów i zasilić szeregi swojego ruchu. Ashią spotkał ich w cegielni. Obawiając się ich, potulnie wysłuchał wszystkiego, co mieli do powiedzenia, nie wspominając ani słowem, że jest chrześcijaninem. Jego muzułmańscy koledzy z pracy też na szczęście utrzymali ten fakt w tajemnicy. Wieczorem po powrocie do domu Ashią o wszystkim mi opowiedział. Ich przesłanie było jasne. Powiedzieli, że JamaateIslami walczy o to, by rząd przyjął szariat, czyli prawo muzułmańskie. Mężczyźni z JamaateIslami oświadczyli swoim piętnastu słuchaczom, że występują przeciwko Zachodowi i społeczeństwom rządonym przez pieniądze oraz że chcą ograniczyć wolność osobistą ludzi, by stali się lepszymi muzułmanami. Z tego, co mówi Zenobia, 50 000 ludzi w Karaczi i 40 000 w Lahaur podziela te poglądy - i wymachuje moim zdjęciem, na którym mam sznur wokół szyi, głośno wykrzykując swoje poparcie dla prawa, które przewiduje karę śmierci za zniewagę islamu. Ashią nie wspomniał mi słowem o licznych manifestacjach, organizowanych po ogłoszeniu mojego wyroku w listopadzie zeszłego roku. Jednak w całości opartego na szariacie (przyp. tłum.).

*JamaateIslami - skrajnie prawicowa, muzułmańska, antyokcydentalistyczna partia pakistańska, założona w rzeczywistości jeszcze przed uzyskaniem przez Pakistan niepodległości, w 1941 roku w Lahaur przez teologa Abula Alę Maududiego. Celem JamaateIslami jest ustanowienie państwa muzułmańskiego.

Zenobia zawsze mówi mi prawdę, nawet jeśli jest przykra i bolesna. Wiem, że robi to z życzliwości. Jest po mojej stronie i mi współczuje.

Mimo że wieści z zewnątrz są alarmujące, to jednak, zamiast osłabiać moje morale, raczej dodają mi siły, żebym trzymała się dalej. Nie pozwalają mi umrzeć.

Jest jeszcze wcześniej i chociaż nie mam jak się zorientować co do dokładnej godziny, wiem, że musi być przed siódmą - bo wtedy wartownicy podają mi dzbanek z wodą, bym mogła sobie zaparzyć herbatę. Poza praniem, muszę zajmować się też gotowaniem, aby nikt mnie nie otruł. Dostaję surowe składniki, z których przygotowuję sobie jedzenie w jedynej menażce, jaką posiadam.

Jestem szczęśliwa na myśl o spotkaniu z Zenobią, której będę mogła wreszcie spojrzeć prosto w oczy - bez strachu, że zostanie to odebrane jako bezczelność lub prowokacja. W końcu będę mogła rozluźnić napiętą twarz, zrelaksować policzki, spróbować się uśmiechnąć, by sprawdzić, czy nadal pamiętam, jak to się robi. Może się to wydawać naiwne - jeśli nie zna się warunków, w jakich żyję w tym przeklętym więzieniu - ale to naprawdę wystarcza, by całemu dniowi przydać blasku. Czekając na Zenobię, która lada moment powinna się pojawić, próbuję wypowiedzieć kilka słów, by zobaczyć, czy z moim głosem wszystko w porządku.

Ponieważ Ashią nie przyszedł w ostatni wtorek, nie ćwiczyłam go od ponad dziesięciu dni. Od kiedy mnie tutaj umieszczono, tak rzadko go używam, że zastanawiam się, czy pewnego dnia na dobre mnie nie opuści. Nie jestem w najlepszej formie, mięśnie nie funkcjonują tak jak kiedyś i nie czuję się już równie zręczna - obawiam się więc, czy po wyjściu z więzienia będę mogła powrócić do dawnych zajęć - przede wszystkim do zbiorów, które są wyczerpujące fizycznie i bardzo męczące dla kręgosłupa. Czuję się, jakbym miała sto lat i wiem, że nawet jeśli stąd wyjdę, nie będę już mogła żyć tak jak dawniej. Aby dodać sobie otuchy i sprawdzić, czy mój głos nadal działa, odmawiam na głos swoją poranną modlitwę, jedną z tych, które tak uwielbiała moja babcia:

Ojcze, dziękuję Ci za opiekę, którą otoczyłeś mnie tej nocy. Dziękuję Ci za nowy dzień i za zdrowie, którym nas obdarzasz. Panie, pozostań przy nas przez cały dzień - kiedy pracujemy, kiedy odpoczywamy i kiedy się bawimy. Wypełnij nas i wszystkich wokół Swą miłością. Amen.

Uspokajam się, stwierdziwszy, że głos mi się nie zmienił i jak na razie wszystko z nim

w porządku. Tak, brzmi normalnie, wszystko gra - będę mogła zamienić parę słów z Zenobią.

Słyszę, jak nadchodzi. Rozpoznaję jej kroki - jedyne delikatne kroki, jakie dane jest mi tu słyszeć.

Zenobia otwiera zamek z łagodnością, nie chcąc mi się naprzykrzać hałasem. To bardzo miłe z jej strony. Wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Przyoblekam się dla niej w swój najpiękniejszy uśmiech, lecz ten zaraz znika z moich warg na widok jej napiętej twarzy, na której zdają się malować wszystkie troski świata. Musiało się wydarzyć coś okropnego. Czuję, że moje serce nie wytrzyma kolejnej złej nowiny. Zenobia bez słowa stawia dzbanek na ziemi, jeszcze wilgotnej od deszczu, który spadł przed trzema dniami.

- Zenobia, co się dzieje?

Jest taka przygnębiona... Po chwili wahania odpowiada mi słabym, ledwie dosłyszalnym głosem:

- Shahbaz Bhatti nie żyje. Zabito go trzy dni temu.

Czuję się tak, jakby ktoś od środka z całej siły ścisnął mnie za serce. Jestem zmrożona z przerażenia, nogi odmawiają mi posłuszeństwa i dysząc, padam na łóżko. Zdaje mi się, że więzienne mury pękają i zwalają się prosto na mnie.

- Zabili go. Komando złożone z trzech lub czterech mężczyzn wpakowało w niego dwadzieścia dziewięć kulek. Nasz minister zginął w biały dzień, w swoim samochodzie w Islamabadzie. Talibowie zostawili w kałuży krwi swoje ulotki.

Nie mogę uwierzyć, że to prawda! Khalil by mi o tym powiedział, byłaby to dla niego idealna okazja, by sprawić mi ból. Czemu nic mi nie powiedział?

- Zenobia, powiedz mi, że to się nie wydarzyło!

Zaczyna szlochać.

Zenobia była dziś moją towarzyszką łez. Wyszła zaraz po przekazaniu mi tej przerażającej wiadomości, bez wątpienia w obawie, że ktoś dostrzeże nasze cierpienie.

Znowu jestem zupełnie sama, zamknięta w posępnej klatce, przygnieciona, zmiażdżona niewiarygodnym okrucieństwem ludzi. Osuszyłam łzy, lecz czuję dojmujący ból głowy. Nie jestem w stanie pojąć, że to prawda. Za wiele nieoczekiwanych zdarzeń, za wiele cierpienia, za wielu umarłych dla takiej dziewczyny jak ja. Do czasu tej tragedii moje życie było proste, spokojne, przewidywalne! Aby uciec jakoś od tego piekła, zawieszam wzrok na małym pająku siedzącym w kącie celi. Chyba chciałby tu zamieszkać, podczas gdy ja ze wszystkich sił pragnę opuścić ten loch. Skupiam uwagę na pająku, chcąc zyskać moment wytchnienia, uspokoić oddech, zapomnieć, choć na chwilę, o okrucieństwie, do którego zdolni są ludzie. Oglądam go, jak zajmuje się tkaniem swojej sieci i widzę, jaki jest delikatny

i skrupulatny. Jego widok mnie uspokaja. W przeciwieństwie do mnie pajak zdaje się wiedzieć dokładnie, co powinien robić. Wykonuje swoje zadanie bez cienia wątpliwości, sprawia wrażenie tak pewnego... Nie znać w nim najmniejszej skazy, podczas gdy ja jestem pełna pęknięć i rys. Mam wrażenie, że wciąż przeżywam koszmar, mimo że już dawno się obudziłam, a ostatni promyk nadziei, który sprawiał, że moje serce nadal biło, zgasł wraz ze śmiercią Shahbaza Bhattiego. Minister wiedział, co mu grozi. Gazety pisały, że i on ryzykuje życiem, podobnie jak gubernator. Nie mam wykształcenia, ale znam determinację fanatyków religijnych. Wiem, że zawsze udaje im się odebrać życie tym, których chcą go pozbawić - jednak, mimo wszystko, nadal zdumiewa mnie ich furia i przemoc. Jestem zdruzgotana, zszokowana niesprawiedliwą śmiercią ministra. Myślę też o mojej rodzinie. Kto się nimi teraz zaopiekuje? Kto zapewni bezpieczeństwo moim dzieciom? Mogłabym w tej chwili umrzeć, gdyby to miało ich uchronić przed śmiercią!

Kiedy przyglądam się pajaczkowi, kontynuującemu swe zadanie, czuję jak wzbiera we mnie złość i sprzeciw. Po raz pierwszy odczuwam gniew do Boga.

Panie, zawsze byłam Twoją oddaną wierną, każdego dnia mojego życia oddawałam Ci cześć - dlaczego więc zsyłasz na mnie tyle bólu, tyle upokorzeń, tyle cierpienia? Po co odbierać życie temu godnemu szacunku człowiekowi, który mógł jeszcze zrobić tyle dobrego, by pomóc ludziom dojrzeć światło? Odbierając mu życie, roznieciłeś piekielną pożogę. Panie, szukam Cię, ale już Cię nie dostrzegam i mam wrażenie, że nas opuściłeś. Proszę Cię o łaskę, zabiegam o Twą dobroć i miłosierdzie, ale widzę tylko ognie piekielne.

Przyglądam się pajaczkowi z bliska, nie zbliżając się doń jednak zanadto, by go nie przestraszyć. Wciąż tka swoją sieć z wyjątkową starannością, metodycznie. Mógłby przecież wyjść na zewnątrz, a wybrał zamknięcie. Siedzę na łóżku z szorstkich lin i wyrzucam sobie, że byłam taka porywcza, zwracając się do Boga. Bóg jest miłością i nie może odpowiadać za szaleństwo ludzi, za całą nienawiść świata.

Proszę Boga, by mi wybaczył i by zaopiekował się Shahbazem Bhattim, by go strzegł u Swego boku, bo oddał życie dla wyższej sprawy. Umarł jak męczennik. Przypominam sobie modlitwę, której mama nauczyła mnie, kiedy miałam pięć lat. Tata, mama, moi bracia, siostry i ja - każdego wieczoru powtarzaliśmy ją przed pójściem spać. Mam wrażenie, że dopiero dzisiaj pojęłam jej sens.

Panie, wspomagaj Twój Kościół i Twój lud, aby był wierny misji, którą mu powierzyłeś, Słowu, które mu przekazałeś i Twym rozkazom. Niech każdego dnia daje się prowadzić Twej Łasce.

Zauważam, że wielka czarna mucha dzisiaj nie przyleciała. Była świadkiem moich

małych radości i mojej wielkiej rozpacz - i opuściła mnie w dniu, w którym straciłam wszelką nadzieję. Być może to nie przypadek: gdyby tutaj była, pajaczków pewnie znalazłby sobie miejsce gdzie indziej.

Zenobia powiedziała, że minister został zamordowany przed trzema dniami. Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, to była środa, 2 marca. Padało bez przerwy od rana do wieczora, co jest rzadkością w Pakistanie. Kiedy pada, nawet zimą, zazwyczaj nie trwa to dłużej niż godzinę, po czym zawsze pojawia się piękna tęcza wieszcząca powrót słońca. Jednak tego dnia niebo nie przestawało płakać, mimo że upłynęło już kilka tygodni, odkąd po wyjątkowo srogiej zimie z powrotem nastąpiły upały. Jak za każdym razem, z powodu nieszczelności na suficie, których do tej pory nie zreperowano, padało również w mojej celi. Do dzisiaj wyczuwam w niej zapach wilgotnej ziemi. Pamiętam, jak kropla deszczu spadła mi na czoło i spłynęła aż do serca. Może to właśnie wtedy zabito Shahbaza Bhattiego... Kiedy myślę o tym dniu, mam sobie za złe, że wydał mi się bardziej zajmujący od pozostałych. Wcale mi się nie dłużył w porównaniu z innymi, które ciągnęły się bez końca. Skąd mogłam wiedzieć? Dzień wcześniej Ashią złożył mi wizytę. Był w świetnej formie. Powiedział mi, że spędzą cały tydzień u ministra Bhattiego, by wziąć udział w konferencjach prasowych, na które mają przyjechać zagraniczni dziennikarze. Według Ashiąa minister dalej chciał alarmować świat o moim smutnym losie, aby kraje zachodnie wywarły presję na Pakistan, by mnie uwolniono. Minister powiedział mi również, że właśnie wrócił z Kanady i Stanów Zjednoczonych, gdzie rozmawiał na mój temat. Odbył długie spotkanie z kanadyjskim premierem, którego imię Ashią zapomniał, a w Waszyngtonie udał się na specjalną rozmowę do Hillary Clinton.

- Kto to jest Hillary Clinton? - spytałam.

Ashią nie bardzo wiedział kto to, więc odparł:

- To chyba musi być sama prezydentka Ameryki, bo Shahbaz Bhatti był bardzo uszczęśliwiony tym spotkaniem i mówił, że fakt, że mógł jej o tobie powiedzieć, ma ogromne znaczenie.

Mój adwokat Tahir zaśmiał się pod wąsem:

- Ależ nie, to nie prezydentka, tylko sekretarz stanu. To też bardzo dobrze.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Ta jakże ważna kobieta myślała i wspominała o mnie. Wyraziła mi swoje wsparcie, zgodnie z tym, co powiedział Ashiąowi minister do spraw mniejszości z prośbą, by mi to przekazał. Cieszyliśmy się z Ashiąem i Tahirem z tych dobrych wiadomości. Kiedy się żegnaliśmy, byłam dobrej myśli i rozpieszczała mnie energia - do tego stopnia, że wydawało mi się, że słyszę muzykę. Pamiętam, jak przyłapałam się na tym, że kołyszę się w rytm kropel deszczu: kap, kap, kapkap. Jestem zła na siebie, że spędziłam

miło dzień, w którym umarł minister, podczas gdy powinnam płakać razem z niebem i modlić się o jego zbawienie. Nigdy sobie nie wybaczę, że tańczyłam, kiedy niebo dawało wyraz swej rozpacz, oplakując łzami deszczu człowieka, który oddał swoje życie za sprawiedliwość i pokój. Człowieka, który oddał życie za mnie.

Czuję się jeszcze bardziej samotna i opuszczona niż kiedykolwiek. Nawet wielka, czarna mucha wolała uciec, pewnie ze strachu przed pechem, którego przynoszę. Nawet ona zrozumiała, że kontakt ze mną może się dla niej skończyć tragicznie - jak dla Salmana Taseera, a dzisiaj dla Shahbaza Bhattiego.

Jestem zmęczona. Czuję się słaba. Oczy same mi się zamykają. Ogarnia mnie senność, kiedy słyszę brzęczenie muchy. Przybyła zbyt późno - teraz chcę już tylko spać, żeby zapomnieć, zatrzeć udrękę, nie myśleć o tym, że od tej chwili jestem zdana na łaskę strażników, którzy mogą mnie bezkarnie zabić i - kto wie? - być może otrzymać 500 000 rupii obiecanych przez mułłę. Zanim zupełnie stracę przytomność, przez głowę przechodzi mi pewna myśl. Po raz pierwszy poważnie rozważam samobójstwo. Aby ocalić moje dzieci, jestem gotowa opuścić ziemię, zamieszkiwaną przez ludzi, którzy mnie sobie na niej nie życzą. Zbyt wiele osób poniosło przeze mnie śmierć i dłużej tego nie wytrzymam. Postanowione - jutro się zabiję.

Budzę się wyczerpana, jakby ktoś bił mnie przez całą noc. Bardzo boli mnie głowa. Przypominam sobie niewyraźnie, że miałam straszne sny - gigantyczne, potworne pająki atakowały moją wieś, Ittan Wali, a Khalil usiłował otworzyć mi czaszkę za pomocą pęka kluczy... Wszystko się ze sobą pomieszało, ale nie chcę czynić wysiłku, by to sobie dokładnie przypomnieć. Kiedy rozglądam się wokół, stwierdzam, że moja nędzna cela sama w sobie jest już koszmarem i nie warto dorzucać do niej kolejnych.

Prostuję się na łóżku z większym trudem niż wczoraj. Ból pleców coraz bardziej daje mi się we znaki. Mój wzrok przyciąga czajniczek poniżej łóżka. Na pokrywce dostrzegam wielką muchę, siedzącą rezolutnie, jak gdyby chciała dać mi do zrozumienia, że nawet jeśli wczoraj udała się na spacer, to od tej chwili zostanie przy mnie już na zawsze. To idiotyczne, ale jej widok działa jak balsam na moje zbolełe serce. Myślę opajączku, który nie miał nic wspólnego z potworami z moich snów, o maleńkim, uroczym zwierzątku, które z takim zaangażowaniem sadowiło się wczoraj w zakurzonej kącie mojej celi. Szukam go, wychylając się aż do ziemi, ale nie ma go już, a pajęczyna jest podarta. Musiał sobie pójść, szczęściarz!

Nie rozumiem, jak to się mogło stać. Na pewno nie wywiał go wiatr, bo w mojej celi nie ma ani wentylatora, ani przeciągów. Pod łóżkiem znajduje się wprawdzie wentylacja, ale

ona ledwo odświeża powietrze na tyle, bym się nie zaczadziła w tym lochu. Codziennie myję się mydłem, wiem jednak doskonale, że tutejszym powietrzem nie da się oddychać - tak bardzo cuchnie, że wydaje mi się, że oblepia mnie odór zgnilizny, smród rozkładu, zapach śmierci. Być może naprawdę zaczynam gnić jak owoc albo więdnąć niczym kwiat pozbawiony wody i słońca? W domu miałam małe lusterko, które powiesiłam sobie koło drzwi. Tutaj minęły już niemal dwa lata, odkąd swojego odbicia. Mam wrażenie, że się od wieków. Czasami próbuję użyć napełnionej wodą menażki, by się w niej przejrzeć, ale jest zbyt ciemno i nie widzę nic poza owalnym kształtem głowy. Nie mam więc najmniejszego pojęcia, jak mogę teraz wyglądać, a kiedy pytam o to Ashią, ten odpowiada mi zawsze to samo:

- Jesteś równie piękna, jak w dniu, w którym cię poznałem.

Denerwuję się, bo wiem, że nie mówi mi prawdy:

- Ashią, mam tego dosyć! Przestań wygadywać głupstwa. Zanim zamknęli mnie w więzieniu już nie wyglądałam na dwudziestolatkę, więc powiedz mi, proszę, czy zmieniłam się, odkąd tutaj jestem!

Zabili ministra

Na próżno podnosiłam głos - mój dobry Ashią jest równie spokojny i równie delikatny:

- Nie zmieniłaś się, Asia. Jesteś naprawdę bardzo piękna.

Jednak ja sama doskonale wiem, że się zmieniłam. Widzę już tylko siwe włosy spadające mi na ramiona, a kiedy obmacuję twarz dłońmi, czuję zapadnięte policzki pod opuszkami palców. Skóra, swego czasu jędrna i elastyczna, stała się pomarszczona i wiotka. Muszę mieć też zaczerwienione oczy, bo pieką mnie przez cały czas, chyba że je zamykam. Tak, z pewnością strasznie się zmieniłam i gdybym jednak miała możliwość przejrzeć się w lustrze, nie wiem, czy bym się ośmieliła. Za bardzo się obawiam, że mogłabym siebie samej w nim nie rozpoznać. W głębi duszy wolę nie wiedzieć, jak wyglądam - wolę sobie wyobrazić, że wciąż jestem ładna, że jestem, jak powtarza Ashią, „równie piękna, jak w dwudzieste urodziny”.

Znów myślę o rozwiązaniu, które przyszło mi do głowy, kiedy wczoraj zasypiałam. Samobójstwo jako wyzwolenie, samobójstwo jako sposób na ocalenie męża i dzieci.

Mam dziś do siebie pretensje, że takie czarne myśli mogły mi w ogóle przyjść do głowy. Modlę się do Boga, by mi wybaczył - i w głębi serca wiem, że to zrobił. Bóg wie, że krwawiące serce spadające w otchłań niezrozumienia nie stanowi przyjemnego widoku. Wraz ze śmiercią Shahbaza Bhattiego wzmagają się we mnie poczucie, że kraty celi zacieśniają się

coraz bardziej wokół mnie. Czuję, że duszę się w tych ciasnych murach, które bez przerwy obserwują każdy mój krok.

Wiem, że nie mogę się zabić, kiedy minister oddał za mnie swoje życie. Nie, nie mam prawa opuścić swoich dzieci, które na mnie liczą, które żyją myślą, że ich mama wkrótce wróci. Poza tym jestem wierna swojej religii i pamiętam, jak ksiądz Samson tłumaczył nam w kościele Świętej Teresy, że samobójstwo stanowi bardzo poważny grzech. Choć w pierwszej kolejności jest aktem wymierzonym przeciwko samemu sobie, to przecież nasze życie i nasze przeznaczenie nie należą do nas. Moje życie jest w boskich rękach, wiem o tym. Skoro nadal jestem przy życiu - pomimo tego wszystkiego, co mi się przydarzyło - z pewnością nie dzieje się tak przez przypadek. To Bóg powierzył mi misję. Być może ja - biedna, nieuczona dziewczyna z gospodarstwa - poprzez swoją historię pomogę ludziom w podobnej sytuacji i, kto wie, może zdołam uchronić ich przed karą śmierci. Jeśli przeżyję, być może któregoś dnia prawo wymierzone w bluźnierców zostanie zmodyfikowane. Nawet jeśli nie jest mi pisane długie życie, nie mam prawa się zabić.

Dopóki oddycham, będę walczyć o to, by Salman Taseer i Shahbaz Bhatti nie zginęli na marne. Chcę, żeby rząd wiedział, że - nawet jeśli zamyka mnie w grobowcu - nie pozwolę, by mój głos zamilknął, dopóki serce bije mi w piersi.

Cały czas myślę o Khalilu. Dziwi mnie, że nie zajrzał wczoraj wieczorem, by dać mi znać, że wrócił i rzucić mi w twarz wszystkie swoje niegodziwości. Jednak po śmierci ministra byłaby to dziecinna igraszka. Khalil nie musi mieć wybujałej wyobraźni, by zdawać sobie sprawę, że Bhatti mnie chronił i wieść o jego śmierci to dla mnie koniec. Jednak dzisiaj czeka mnie przede wszystkim wizyta Ashią. Nie widzieliśmy się od piętnastu dni, od śmierci ministra. Tak bardzo musi się o mnie niepokoić! A ja, odkąd zabito ministra, nieustannie czuję, jakbym miała kamień w żołądku, kiedy zastanawiam się, gdzie teraz mieszka moja rodzina, która była pod jego opieką. Bez przerwy się obawiam, że coś może im się stać. Jest wczesnie, bo w celi panuje jeszcze chłód. Ashią przyjdzie dopiero około południa, lecz każda minuta, dzieląca mnie od spotkania z nim, dłuży mi się, jak gdyby trwała godzinami. Dla zabicia czasu zaczynam zakładać się sama ze sobą - w którym momencie pojawi się Khalil? Podczas kąpieli? Kiedy będę zagotowywała wodę na herbatę, a może kiedy będę jadła ryż, żeby nabrać nieco sił? Obstawiam kąpiel - zauważyłam, że często zagląda do mnie właśnie wtedy, gdy się myję - jakby chciał mnie po raz kolejny upokorzyć, bym poczuła się nieswojo.

Myśl o spotkaniu z Khalilem napawa mnie trwogą. Od śmierci ministra jestem bardzo osłabiona i nie wiem, czy nie załamie mnie jego pierwsza złośliwa uwaga. Czuję się zupełnie rozbita wewnętrznie i chociaż nabrałam nieco sił dzięki kontaktowi z Bogiem, w każdej

chwili mogę się zupełnie rozsypać. Czas mija i nadal żadnych wieści o Khalilu. Jem ryż, kiedy nagle doznaję dziwnego wrażenia, jakby ktoś mnie obserwował. Oczywiście nie zapomniałam o kamerze, która nieustannie mnie nagrywa, ale czuję też na sobie czyjeś ciężkie, natrętne spojrzenie. Siedzę na moim sznurowym łożku z głową zanurzoną w menażce z ryżem, tak by nie upadał na ziemię i nie przyciągał wszystkich owadów pod słońcem, kiedy dostrzegam maleńkie okienko wbudowane we drzwi. Dziwię się, że nie zwróciłam na nie do tej pory uwagi, ale po chwili rozumiem dlaczego. Okienko jest otwarte i przedostaje się przez nie mała wiązka światła, wychodzi bowiem na zewnątrz, na więzienny korytarz. Podchodzę do wizjera, lecz natychmiast się cofam, przejęta strachem na widok oka o niesłychanie dużej źrenicy, zerkającego z drugiej strony drzwi. Rozpoznaję, że owo wielkie, wylupiate oko należy do Khalila i na sekundę serce przestaje mi bić. Po chwili oko znika i słyszę klucz w metalowym zamku. Khalil wchodzi krokiem tryumfatora:

- Mam cię, ha!

Serce wali mi w piersi. Jestem na siebie zła, że dałam się nabrać na jego okrutne gierki.

- No i robaki żrą twojego ministra-chrześcijanina... Ma to, na co zasłużył. Ciebie też to czeka! Jesteś następna na liście!

Wbijam wzrok w ziemię ze złączonymi dłońmi, tak jakbym chciała być bliżej Boga, żeby dodał mi sił i żebym była w stanie znieść te niegodziwości.

- Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, brudasio! - rzuca Khalil z oczami pełnymi pogardy. - Jak zauważyłaś, w piątek nie powiedziałem ci o niczym, bo chciałem, żeby inna chrześcijanka ci to ogłosiła. Nie chcę się mieszać do waszych brudnych, chrześcijańskich spraw! Przyszedł twój mąż z adwokatem. Wyjmuj łeb z miski i rusz się!

Zaraz to się skończy, nareszcie. Odczuwam olbrzymią ulgę na myśl o spotkaniu z Ashią. Drzwi otwierają się na drucianą siatkę, którą powleczone są kraty. Przypomina moskitierę, z tym że to ja jestem tutaj niechcianym robakiem. Za każdym razem, kiedy patrzę na Ashią przez metalowe oczka siatki, odnoszę to samo wrażenie - czuję się, jakbym miała na sobie burkę, która bardzo ogranicza pole widzenia. Wprawdzie nigdy nie nosiłam burki, ale pewnego razu przymierzyłam tę, która należała do mojej sąsiadki Fasare.

Chciałam się po prostu przekonać, jak to jest. Było z tego dużo śmiechu, bo okazało się, że po prostu nic przez nią nie widać.

Ashią i Tahir siadają na swych krzesłach. Ashią jak zwykle siada jak najbliżej siatki - ale dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek chciałabym móc go uściskać. Minęło już tyle czasu... Jedyny kontakt, na jaki możemy sobie pozwolić, to dotyk opuszką palca wskazującego.

Celujemy w tę samą dziurkę, ale ponieważ oczka siatki są bardzo drobne, nie udaje mi się poczuć ciepła jego skóry. Zauważam jednak, mimo dzielącej nas siatki, że Ashią zachowuje się inaczej. Jest ciemno, ale dostrzegam, że zgubił gdzieś ów blask, którym zawsze emanowało jego spojrzenie i patrzy na mnie ze smutkiem. Nawet adwokat Tahir wydaje się przybity.

- Ashią, co z dziećmi? Gdzie teraz mieszkacie?

- Od śmierci ministra Tahir przechowuje nas w swoim domu w Lahaur - odpowiada Ashią, odwracając się w jego stronę.

Tahir jest chrześcijaninem, podobnie jak my. Jest nie tylko moim adwokatem, ale i starym przyjacielem z dzieciństwa - urodziliśmy się w tej samej wiosce.

- Dziękuję, Tahir. Dziękuję, że zaopiekowałeś się moimi bliskimi. Tak bardzo się boję, że coś im się stanie...

- Wiesz, że kiedy się o wszystkim dowiedzieliśmy - mówi Ashią - byliśmy u niego w domu? Pamiętasz? Mówiłem ci, że minister miał nas u siebie ugościć przez parę dni.

Słowa Ashią wywołują we mnie przerażenie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że byliście tego dnia w Islamabadzie i mogliście być w jego samochodzie w chwili, w której go ostrzelano?

- Tak. Widzisz - to znak od Boga.

- Poszliście na pogrzeb?

- Tylko ja i Tahir, dzieci nie - odpowiada Ashią cichym głosem. - Ponieważ byliśmy jeszcze w Islamabadzie, poszliśmy na oficjalną uroczystość w kościele Matki Boskiej Fatimskiej. Ksiądz zgodził się mnie ukryć wśród śpiewaków z chóru.

- Ashią, ty w chórze? Ale ty przecież tak strasznie fałszujesz!

Nareszcie serdecznie się uśmialiśmy. Bardzo nam tego w tej chwili potrzeba.

Tak bardzo chciałabym móc wziąć udział w pogrzebie! Zasypuję ich pytaniami. Jak było? Czy przyszło dużo ludzi?

I jakich?

- Kościół był pełen - zaczyna Ashią. - Tak, było dużo ludzi, w tym cała jego rodzina: bracia, matka i bratanice. Znajdowali się w pobliżu trumny, w górze nawy, przed ołtarzem. Trumnę przykryto w połowie flagą Pakistanu, a w połowie sztandarem jego stowarzyszenia Ali Pakistan Minorities Alliance. Kiedy trzech jego braci wniosło trumnę do kościoła, wszystkich ogarnęło uczucie spustoszenia i rozpacz. Setki chrześcijan z Islamabadu płakały i szlochały, a jego matka jęczała wniebogłosy. Płakali też niektórzy cudzoziemcy, siedzący w pierwszych rzędach.

- Nie dziwi mnie to - pomyślałam na głos - bo ci cudzoziemcy to przecież chrześcijanie, tak jak my.

- Mszę celebrował arcybiskup Islamabadu, Jego Ekscelencja Anthony Rufin - kontynuował Tahir. - Zanim zaczęła się ceremonia, długo śpiewaliśmy. Zrozumiałem, że czekaliśmy na przybycie premiera, który miał rozpocząć część oficjalną. Yousaf Reza Gilani wkroczył do kościoła otoczony przez kordon ochroniarzy i jak tylko znalazł się w środku, kościół zamknięto - nawet dla siostry ministra Bhattiego, której nie pozwolono wejść. Dowiedziałem się o tym potem podczas rozmów na dziedzińcu przed kościołem. Arcybiskup wygłosił bardzo wzruszającą homilię. Powiedział, że Shahbaz Bhatti był dla niego jak syn, że widział, jak dorasta... Posłuchaj, Asia, zrobiłem notatki.

Tahir rozwija dużą kartkę i zaczyna czytać:

„Shahbaz Bhatti w jakże młodym wieku oddał swoje życie dla Jezusa Chrystusa. Zawsze angażował się społecznie i politycznie, zarówno w służbie dobru wspólnemu, jak i dając świadectwo wiary w Chrystusa. W ramach swoich obowiązków Bhatti wypełnił boską wolę i przeżył swoje życie zgodnie z boskim planem, z wiarą, posłuszeństwem i nadzieją. Zawsze prosił mnie o modlitwę w swojej intencji, był bowiem świadom, że zaangażowanie w ziemskie sprawy jest niepełne i nie przynosi owoców bez pomocy z góry. Polityczna służba sama w sobie, bez odniesienia do wiary, jest jałowa i wystawiona na działanie zła.

Ten człowiek oddał życie w imię wiary. Jestem pewien, że Kościół, w odpowiednim czasie, ogłosi go męczennikiem”.

- Kiedy msza się skończyła - kontynuuje Ashią - helikopter zabrał ciało Shahbaza Bhattiego do jego rodzinnej wioski, Khuszpuru* niedaleko Faisalabadu. Wieczorem, kiedy oglądaliśmy lokalne wiadomości, ujrzeliśmy, że wśród chrześcijan były również setki hinduistów, sikhów i muzułmanów, którzy przyszli z płatkami kwiatów, by oddać mu hołd.

Przez kilka minut siedzimy w ciszy. Głowę wypełniają mi obrazy ceremonii, takiej jak ją sobie wyobrażam. Zaczyna mnie ogarniać wielki smutek. Nie mogę się powstrzymać, by nie wyszeptać:

*Khuszpur (Khushpur) - chrześcijańska wioska założona przez europejskich misjonarzy (przyp. konsult.).

- Zostaliśmy teraz zupełnie sami...

Tahir odpowiada mi pewnym głosem:

- Nie, Asia. Nie jesteśmy sami. Brat Shahbaza Bhattiego, Paul, przejął po nim pałeczkę i chce kontynuować walkę. Wiem, że spotkał się już z papieżem Benedyktem XVI.

- Z papieżem?

Serce podskakuje mi w piersi.

- Tak, a na pogrzebie był też biskup Faisalabadu, Jego Ekscelencja Joseph Coutts oraz imam z meczetu Badśahi w Lahaur, Syed Muhammad Abdul Khabir Azad.

- Przyszedł też imam?

Niespodzianka goni niespodziankę. Ashią milczy, ale delikatny uśmiech rysuje się na jego wargach.

- Tak, imam. Jest odważny. Dlatego nie możemy tracić nadziei. Musimy być silni, Asia. Nie jesteś sama.

Od czasu zabójstwa ministra czuję strach, przesywający strach. Czekam na moment, w którym przyjmie mnie Bóg, jak czeka się na oazę w sercu pustyni. Jestem wyczerpana. Potrzebuję odpoczynku. Nie uważam, by człowiek mógł zastępować Boga i decydować o śmierci drugiego człowieka. Lecz kiedy nadejdzie moja godzina - ulegnę. Jedyną rzeczą, trzymającą mnie jeszcze przy życiu - pomimo wszystkich strat, zniewag i trwogi, która mnie nie opuszcza - jest pewność, że jestem niewinna. Przekonanie o niesprawiedliwości, którą mi wyrządzono. I chęć dania świadectwa, uzyskania gwarancji, że moja walka przysłuży się innym. Nie jestem wykształcona i zawsze prowadziłam bardzo skromne życie - lecz, być może, okaże się, że będzie ono miało wpływ na życie wielu innych ludzi w moim kraju.

Odkąd nie żyje Shahbaz Bhatti, każdego dnia boję się, że wejdzie do mej celi strażnik, który zaprowadzi mnie na śmierć. Nie chronią mnie już względy ministra. Wiem jednak, że inni przejęli po nim pałeczkę - cudzoziemcy, których poruszył mój los, a także ludzie w moim kraju.

Powtarzam to wszystko, by dodać sobie odwagi. Uczepiam się obrazu mojej rodziny - męża, który pewnie stoi u mego boku, dzieci... Ukochanych dzieci, których od tak dawna. Myśl, że jeszcze żyją, mimo gróźb, które nad nimi wiszą, dodaje otuchy memu zbolełemu sercu. Dziesięć razy oddałabym swoje życie, gdybym miała pewność, że ocaliłoby to ich własne. Chciałabym, aby byli szczęśliwi i by odnaleźli wreszcie spokój, którego nie zaznali, odkąd zamknięto mnie w więzieniu. Chciałabym, aby - cokolwiek by się zdarzyło - zdołali ułożyć sobie życie i przekazali innym całą miłość, którą do nich czuję. Są niczym ziarna nadziei i miłości, które, mam nadzieję, przemienią się w kwitnący ogród.

Teraz znacie mnie już nieco lepiej. To do was pragnę się zwrócić. Przeczytaliście moją historię i zapoznaliście się z moim krajem, z naszym życiem tutaj, które, mimo wszystko, jest szczęśliwe - a w każdym razie mogłoby takie być. Jestem tylko kobietą w oceanie kobiet, ale pokornie wierzę, że moja gehenna przypomni o innych potrzebujących. Tak bardzo bym chciała, żeby moi kaci otworzyli wreszcie oczy, żeby sytuacja w moim kraju

uległa zmianie...

Skoro już mnie poznaliście, opowiedzcie innym moją historię. Przekazcie ją dalej.
Wierzę, że to jedyna szansa, bym nie szezła w tym więzieniu.

Potrzebuję was!

Ocalcie mnie!

Więzienie w Śechupurze, kwiecień 2011